Rok I. Kraków, dnia 5 Lipca 1882 r. Nr. 7.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Z OSTATNIEGO ZJAZDU
w PRADZE

Wyjąwszy pewnej garstki egoistów, która zamknąwszy się w sobie, stara się zużyć w skrytości dary ślepego losu, większość razem płacze i cieszy się, żywe słowo w przeróżnej formie obiega całe społeczeństwo roznosząc wszystko to, co zdołało silniej zadrgać w naszym umyśle lub sercu. Nie chcąc być zaliczonym do tej garstki, a właściwie dziś już garści ludzi, spieszymy, aby módz podzielić się wspomnieniami niedawno opuszczonej Pragi, a czynimy to tem chętniej, ponieważ rzecz równie żywo jak nas zajmuje całe polskie społeczeństwo.

Serdeczne zbliżenie się do nas w ostatnich czasach Czechów podczas jubileuszu J. I. Kraszewskiego a szczególniej podczas ostatniego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, zdołało znowu nawiązać też braterski stosunek pokrewnych sobie narodów czeskiego i polskiego, stosunek, za którym przemawiały nietylko tradycja, głos krwi, lecz także wzajemna sympatja, jaka najwięcej niezawodnie przyczyniła się do jeszcze ściślejszego zaciśnięcia tych pokrewnych węzłów. Liczne przekłady z polskich autorów przepełniające dziś prawie wszystkie pisma czeskie, a wreszcie owo głębokie zainteresowanie się przeszłością i językiem naszym, co mieliśmy sposobność tylokrotnie zauważyć, są dowodem, iż stosunki te nie objawiają się tylko gorącemi słowy lub serdecznemi uściskami, lecz, że mając daleko głębsze i pewniejsze podstawy, są zapowiedzią przyszłości niewzruszonego, a więc dla obydwu narodów, tak materjalnie, jak i moralnie korzystnego pobratymstwa. Liczny zastęp Polaków, który brał udział w ostatnim zjeździe lekarzy i przyrodników czeskich jest z naszej strony widocznym dowodem, jak gorąco przyjaźni Czechów pragniemy i jak wielką sympatję żywimy w sobie dla tego dzielnego narodu. Wszyscy wyjeżdżając do Pragi byliśmy przekonani, że z pewnością nas tam nie mało będzie; poczucie łączności, które się na nowo w nas wzbudziło, nie dozwalało ani na chwilę wątpić, że uczucie to przejmujące poszczególne jednostki jest uczuciem całego narodu polskiego. Gdyśmy też zawitali w gościnnych murach złotej Pragi, nie małe radosne zdziwienie ogarnęło nas na widok bardzo poważnego zastępu Polaków, który z równie gorącem sercem biegł złożyć ze wszystkich stron kraju w tym prastarym grodzie nowe dowody serdecznej, a chwilowo tylko przez obce intrygi przygłuszonej przyjaźni. To też jakkolwiek wielu z nas nie znało Pragi, mimo tego jednak nie robiła ona na nas wrażenia nieznanego miasta; ta głęboka powaga wieków, jaka przepłynęła nad tem miastem, przemawiająca do nas swemi marmurowemi kartami na każdym kroku o dawnej przyjaźni i braterstwie za czasów ze słuchu już nam tylko znanej złotej wolności narodowej, to serdeczne przyjęcie, te sympatyczne twa-

KRONIKA.

Humor dziennikarzy. Olga Hrabar i Garibaldi. W jaki sposób można być jednocześnie Kościuszką i warchołem. Towarzystwo strzeleckie. Niedobrana para.

Oddawna nie byli dziennikarze nasi w tak złotych humorach. Kiedy zawsze potrzebują się biedzić nas tem co tu zełgać (darujcie wyrażenie) przez usta «dobrze poinformowanego» korespondenta wiedeńskiego, jaki telegram senzacyjny wysłać z Petersburga via Rio-Janeiro, Melburne i Wadowice, kiedy oczekują z niecierpliwością do kroniki jakiej zbrodni, a choćby wieści o urodzeniu się prosięcia z czterema nogami, kiedy zawsze czychają na jaką cause célèbre lub skandalik z wyższego świata, a to wszystko dla miłego zapełnienia szpalt i jeszcze milszego jednania sobie prenumeratorów — dziś z uśmiechem zapalają cygaro, nie troszczą się o prosię czteronogie, ani o spłoszoną indyczkę, nie wyszukują dziur w asfalcie, nie podpatrują menu obiadowego ks. Bismarka, pozwalają bezkarnie na romanse führerów z Magdami, a nawet (co rzecz najdziwniejsza) ujadają na siebie zaledwie dwa lub trzy razy na tydzień.

Ten stan rzeczy zawdzięczać należy: pani Oldze Hrabar, Garibaldiemu, sprawie egipskiej i innym mniejszym faktom, tłoczącym się do szpalt dziennikarskich. Z jakąż rozkoszą dowiaduje się pan redaktor o g. 11stej rano, ze numer już zapełniony. «Mamy dziś— mówi korektor — sześć szpalt Olgi Hrabar, dwie szpalty Garibaldiego, szpaltę bram tryumfalnych dla marszałka i pół szpalty petitu oświaty ludowej, co razem ze sprawą egipską, artykułem wstępnym, kroniką i cenami cukru, przenosi o ćwierć szpalty trzy kolumny dziennika. Co pan redaktor rozkaże wyrzucić?» «Obciąć o połowę oświatę ludową,» decyduje wyrocznia i zagłębia się w fotelu redaktorskim z miną zadowoloną.

Nie tak to było jeszcze przed paru miesiącami. Wysyłało się reporterów na zwiady czy niema ślubu w jakim kościele, opisywało się dramatycznie spadnięcie dachówki, zastanawiając się szeroko nad tem: co by to było, gdyby dachówka była większa i gdyby rozbiła się na głowie przechodzącego obywatela. «Czas» donosił w korespondencji ze Lwowa o kichnięciu pana namiestnika, a redakcja w obszernym przypisku komentowała ten fakt i wołała: na zdrowie! To dawało «Reformie» pole do uwag nad serwilizmem i nad samowolą magnatów kichających ile razy im się podoba. «Czas» wyrzucił z siebie w odpowiedzi artykuł wstępny kończący się na wyrazach: kichamy i kichać chcemy! Gazeta krakowska spokojnie ten fakt obserwując, obiecała poprosić p. Henryka Schmidta o wyczerpujący traktat z dziejów kichania polskiego, zapowiadając jednocześnie artykuł sytuacyjny w tej kwesji pióra p. Emila Szwarca.

Przypominacie sobie szanowni czytelnicy jak jedni «nietykalność plant» pisali na sztandarze swego stronnictwa, a drudzy «w imię

rze, charakterem, do nas wielce zbliżone, a wreszcie ten ustawiczny przemiły szmer w około nas pokrewnej, prawie naszej mowy stworzył dla nas otoczenie takie jakieś ciepłe, domowe, że nawet ani na chwilę nie mogliśmy pomyśleć, aby to miasto było nam tylko pokrewne a nie rodzinne. Słowo wypowiedziane po polsku było talizmanem torującym wszędzie drogi, a na rozjaśnionych twarzach przechodniów z ciekawością przysłuchiwających się naszej mowie, znać było przyjazną gotowość do wszelkiej pomocy lub rady. Czy jednak rady i pomocy było potrzeba szukać bardzo wątpię,—wszystko dla nas było przygotowane, wszystko naprzód obmyślano, tak, że wśród naukowych zajęć i zabaw, które rozumie się przeważały, ani wiemy kiedy czas przepędziliśmy w Pradze.

Stolica Czech, dziś już dzięki nieustannej narodowej pracy na wskroś czeskie miasto, ma w sobie jakiś dziwny czar, niewzruszoną powagę dalekiej przeszłości, która mimo szerokich ulic, wytwornych wystaw sklepowych i całego przepychu naszego wieku, a nawet mimo tu i ówdzie snujących się burszów niemieckich strojem i miną przypominających nieco masztalerzy a więcej klownów cyrkowych, nadaje całemu miastu dziwneni, czem nie zatarte piętna starożytności, a przejmując uroczą powagą zda się przypominać na każdym kroku nam o dawnem braterstwie, Czechom zaś o ich obowiązkach narodowych. Ku Wyszehradowi, Hradczanom i Żiżkowej górze wznoszącym swe wiekiem a więcej wojnami zrysowane czoła ku niebu, ku tym świadkom ubiegłej chwały i minionych nieszczęść czeskiego narodu, zbiega się całe miasto, przecięte w środku wprost ku Wełtawie idącymi głównymi ulicami: Przykopem, Owocną i Ferdynandową, na której końcu nad rzeką wznosi się wspaniały gmach, chluba czeskiej sztuki i czeskiego patrjotyzmu, teatr narodowy «ceskė narodni divadlo,» który dziś już nanowo z gruzów podniesiony niezadługo będzie mógł w całej pełni rozbudzać dalej czeską operę i dramatem pouczać godności i łączności narodowej. Zdaleka widać przerzucony przez Wltawę kamienny most z trzydziestu kamiennemi figurami, w górze zaś zamek królewski wraz ze starą katedrą św. Wita, tym wspaniałym panteonem wielkiej czeskiej przeszłości. Punktem zbornym naszym był niedaleko ztąd położony zofijski ostrów, wyspa sztucznie wydarta czeską pracowitością nurtom rzeki. Tutaj odbywały się wszystkie publiczne naukowe posiedzenia tu także spędziliśmy wieczory mając na każdym kroku dowody prawdziwie braterskiej gościnności ze strony Czechów. Gromkim oklaskiem i okrzykiem «sława» i «wybornie» przyjęto obiór Dr. Jakubowskiego i Dr. Radziszewskiego na wice-prezesów zjazdu, na co z naszej strony najlepszą odpowiedzią były nader liczne telegramy ze wszystkich stron Polski, życzące gorącemi słowy pomyślności i powodzenia czeskiej nauce. Oprócz publicznych posiedzeń, na których znakomity podróżnik afrykański Dr. Holub i prof. Szafarzik mieli bardzo interesujące odczyty, odbyło się jeszcze po kilka posiedzeń specjalnych sekcyj. Celem posiedzeń tych było zebranie wszystkich najnowszych odkryć, jakie na polu wiedzy przyrodniczej i lekarskiej w ostatnich czasach Czesi dokonali. Możemy tu jednak śmiało dodać, wnioskując po stosunku danej ilości polskich odczytów, że i my także pewną wiązankę prac naszych złożyliśmy na ołtarzu czeskiej wiedzy, chcąc i na tem polu także dać dowody naszej łączności. Z Polaków mieli wykłady pp. Dziewulski, Jerzykowski, Kamieński, Kopernicki, Krasiński, Matlakowski, Mayzel, Obtułowicz, Ossowski, Radziszewski, Rostafiński, Szyszyłowicz, Talko, Wąsowicz, Wiktor i Żuliński, a każde słowo z ust ich z wielkiem zajęciem chwytano, dając żywy poklask każdej nowej myśli, każdemu nowemu odkryciu.

Niechaj nam jednak wolno będzie już tymi kilkoma słowy zakończyć rzecz o części naukowej zjazdu, bo myśl nasza już rwie się do milszego od ponęt nauki wspomnienia i przenosząc się w tak niedawne czasy, zdaje nam się, że słyszymy te trzykrotne okrzyki «sława Polakom» jakie zatrząsnąwszy letnim czeskim teatrem odezwały się gorąco w sercach naszych, aby zostać na całe życie jednem z najmilszych wspomnień. Okrzykiem «niech żyją Czesi» odpowiedzieliśmy, a jakkolwiek nie wielu nas tam było, Czesi przyjąwszy okrzyk ten jako głos całej Polski żegnali nas jeszcze raz przy wyjściu z teatru wraz ze zgromadzonemi tłumami nieskończonem «Slawa Polakum.» Że okrzyki te zebranych tłumów nie były sztuczne, wywołane przez intelligencją, mieliśmy się sposobność przekonać niemal na każdym kroku, wielu z nas bowiem zbliżywszy sie do prostego ludu natrafiło na taką serdeczność, takie żywe słowa przyjaźni, że prawie dziwić się trzeba było tem ich interesowaniem się i zajęciem Polakami. Wprawdzie może nigdzie też niema takiej zgodności myśli i dążeń wszystkich warstw, co w Czechach — szlachty niema prawie, kilka rodzin ocalałych sympatyzuje z ludem, cała dzisiejsza intelligencja wyszła z ludu, mieszczaństwo nowe nie ma swych kastowych przesądów, arystokracja we większej części zniemczona, dziś dopiero za przykładem ludu budzić się zaczyna z długiego snu, przypominając sobie, że ojczyzną jej są Czechy —czy

---

Polski i patrjotyzmu» godzili na chodnik plantacyjny obok ulicy Gołębiej. «Czas» teatrowi w Pawłowsku więcej w jednym numerze poświęcał miejsca, niż przez rok cały poświęca go dla Akademji Umiejętności. «Reforma» przez cały miesiąc chorowała na serce Konarskiego. I tak dalej, i tak dalej, aż skończyło się na wielkiej kłótni o to, czem są stańczyki.

Proces lwowski stał się oazą na tej pustyni pokarmu dziennikarskiego. Zarysowały się na tle jego tak potężne osobistości, że niewiadomo której z nich przyznać pierwszeństwo, która bardziej ku sobie «nęci serca i umysły?». Czy małomówna i poważna Olga Hrabar? czy rozpięci na krzyżu prawosławnym Naumowicze? czy twardy w przekonaniach Załuski? czy ogniem pałający nabywca konia hucalskiego Markow? czy głęboko studjujący dzieje unji Dobrjanskij? czy biegły w finansowości Płoszczański? czy Achil wrzący zawzięty Dr Iskrzycki?

Mimowoli popadłem w naśladownictwo stylu Dra Szujskiego. Krok dalej, a zacznę wymyślać od warchołów, «płytkich rozumów a wielkich gąb» i skończę (jak X. Podolski wzmiankę o Garibaldim) wyrazami: franche canaille! Biedny Garibaldi ani się spodziewał, aby go w Polsce jedni robili Kościuszką, a drudzy kanalją i kłócili sią o niego tak jak o plantacje, a nawet jeszcze gorzej. Pamiętam jak uwielbienie dla Garibaldiego czyniło z niego rodzaj bóstwa. Koszule, czapki, papier listowy, chustki do nosa, spinki, buty itd. — wszystko to nosiło jego nazwisko. Mnie (a miałem wówczas lat 10) szczególniej podobał się placek Garibaldi, wysoki, drożdżowy, bardzo pięknie lukrowany. Był on tak w modzie, że każde, choćby najmniejsze zebranie towarzyskie nie mogło się obejść bez paru funtów «Garibaldiego» do herbaty. Z takiego piedestału zejść później na *franche canaille*, to upadek zbyt gwałtowny.

Prawdę powiedziawszy przesada w uwielbianiu i pomiataniu nigdy nic dobrego nie zdziała. Gdyby tak np. nasz Bosak miał oparcie o pięciomiljonową Sardynię, gdyby przybył mu na pomoc Napoleon z armatami, a Cavour z rozumem, to byłby z niego Garibaldi, aż miło! Nie znaczy to jednak, aby lekceważyć poświęcenie się znakomitego patrjoty włoskiego. Cześć dla obrońcy wolności powinna łączyć się z zapomnieniem jego wad publicznych i prywatnych i z niezapominaniem o tylu podobnych mu, a nawet większych bohaterach, których choćby tylko nasza ziemia w ostatnich czasach wydała. Kończyli oni zazwyczaj na szubienicy, a zatem więcej dali narodowi w ofierze niż pustelnik z Kaprery.

Popsuła mi się kronika Garibaldim, który smutne myśli mimowoli wywołał. Nie tak smutno być musi Towarzystwu Strzeleckiemu, mającemu nowego pana i monarchę. Uważam za oszczerstwo twierdzenie, jakoby pomiędzy członkami towarzystwa było tyle głów do pozłoty, że aż pozłotnika królem obwołali. Sądzę, że raczej był to hołd dla twórcy ram do »Hołdu pruskiego».

A propos hołdu nie wiem czy Kraszewski złożył hołd Neue freie-Pressie pisząc powieść

więc tam może być mowa o jakiejś różnicy zapatrywań, o jakichś różnych sympatjach? wspólny cel łączy ich wszystkich do pracy, wspólne tradycje pozbawione kastowych przesądów rozbudzają w ich sercach te same uczucia, te same pragnienia. Braterskie uczucia Czechów nie są więc tylko uczuciem intelligencji, ona je wprawdzie najgoręcej objawia, bo ma do tego sposobność, równie jednak gorąco czuje ją cały lud czeski, czego dowodem zresztą są także i liczne telegramy, jakie ze wszystkich stron Czech nadesłano ze serdecznemi słowami pozdrowienia Polaków i liczne okrzyki zebranej tłumnie ludności podczas wycieczki naszej na Zbrasław.

Dziwny też urok jakiś musi mieć ta nasza ziemia, cała nasza przeszłość a nawet i to nieszczęście teraźniejszości, które nas prześladuje, ze wszystkich bowiem Czechów, jakich w Pradze spotkaliśmy najwięcej mają dla nas przyjaźni, najbardziej nas kochają wszyscy ci, którzy bodaj na chwilę byli w ubogiej naszej ojczyźnie, choć nieco poznali bliżej nasze społeczeństwo. Jednym z naszych największych i z pewnością niewzruszonych przyjaciół, któryby duszę i ciało oddał dla dobra naszego narodu jest prof. A. Fricz, znakomity zoolog i peleontolog czeski. Zbliżywszy się do nas, tak ukochał nasze społeczeństwo, że serce jego ma już nie jednę ale dwie ojczyzny: Czechy i Polskę. Niechaj nam wolno będzie powtórzyć te gorące słowa z jakiemi zwrócił się Prof. Fricz podczas uczty do Polaków:

«Bratri Polaci! Bratrské prijeti, jehoz se nam Cechum loni v Krakove dostalo, zustane nam u vecne upomince. Kazdy krok nas byl tak jako dnes sledovan dvema poratimskymi narody: ceskym a polskym. Kdyz jsme vas, bratry polské, vyzvali, abyste k nasemu zjezdu zavitali, netusil nikdo, ze tolik slechetnych srdci polskych pro nas bije, ze tolik de vas dostavi. V Krakove dekoval jsem bratrim Polakum za prispeni, ze nam staroslavna universita nase byla prislibena, dnes ji mame a musime jen dekovati za primluvu, kterou svymi prvnimi muzi ucinili u trunu. Nase matička Praha prijala vas s otevrenou naruci a privinula vas tak vroucne k srdci, ze zadne pletichy politické nezlomi pouto, jez vize narod cesky s narodem polskym. Nepripijim, ale podavam vam své uprimné srdce, abyste poznali lasku (miłość) Cechu k bratrim Polakum.»

a każdy uznać musi, że króciej a serdeczniej odezwać się trudno. Nie brak nam więcej jednak takich przyjaciół między Czechami, dość przypomnieć wam zacnego posła Tomnera, który z takiem zaparciem się siebie oprowadzał nas po Pradze, wreszcie ów weteran czeskiej nauki prof. I. Krejci, z młodych obydwa Czelakovscy, J. Vrchlicky, Jan Prażak Otokar Hostinsky, Jelinek, zacny Hovorka i wielu bardzo wielu innych, bo czyż można ich wszystkich wyliczyć? Kto ciekaw niech weźmie sobie spis czeskiej ludności w Pradze, a znajdzie tam wszystkich naszych przyjaciół.

(Dokończenie nastąpi.)

Ignacy Szyszyłowicz.

PAN JAGIELSKI.

Szkic z życia polskiego

Edwarda Jelinka.

(tłóm. z czeskiego St. K.)

Pan Jagielski!.. był to mąż pięknej i szlachetnej postawy, szlachetniejszego zaś nad wszystko serca.

Miał głowę białą jak śnieg świeżo spadły, twarz okrytą zmarszczkami, oko jasne, wyraz oblicza szlachetny, usta zaś okalał ów rezygnacyjny uśmiech, jaki zdarza się widzieć u ludzi, co wiele, wiele przeżyli i przecierpieli.

O! bo też przeżył pan Jagielski wiele; od wczesnej młodości, jakby w skutek przekleństwa losu, doznawał wciąż ciosów przykrych i bolesnych. Pomimo to jednak oko jego jeszcze iskrzyło się ogniem, jeszcze podnosił osiwiałą głowę na pochylonych barkach hardo niejako i zamaszyście, a kiedykolwiek myślą zwrócił się do dni dawno ubiegłych, gładził sobie biały włos, pochylał głowę i z poczciwym wyrazem twarzy mawiał do siebie: «Ha, stało się, — widać nie mogło być inaczej!»

W młodym wieku był upragnionym gościem każdego salonu, przedmiotem powszechnego zajęcia i oznak przyjaźni — lecz minęły lata i pan Jagielski zamknął się w ustroniu.

Nie chodził już potem ani do teatru, ani na koncerty, nie zaglądał nawet, — rzecz dziwna, — do Saskiego Ogrodu; słowem usunął się najzupełniej od życia towarzyskiego. Prawda, że na ulicy dość często pozdrawiali go niektorzy przechodnie, przytem ze szczególniejszą uprzejmością okazywano mu oznaki najserdeczniejszej przyjaźni, ale byli to zwykle starzy jak i on. Z nikim też na ulicy nie przystanął, z nikim nie pogawędził — uprzejmie każdego zdaleka pozdrowił i... — szedł sobie dalej.

Słowem żył jak samotnik — bez żony, bez dzieci, bez żadnej pociechy! A jak był cichy w obec ludzi, tak ciche było i jego życie domowe. Siadywał sobie w domu sam — zawsze sam — u okna, w małym, wykwintnym wszelako saloniku, z długą fajeczką w ręku, obejmując myślą smutne dalekie horyzonty i patrząc w zadumie na cicho płynącą opodal ukochaną Wisłę...

Nie zapraszał do siebie grona przyjaciół, ktorzyby go mogli rozweselić, nie witał przez rok cały zgoła nikogo, — wciąż

---

do jej feljetonu, czy też Neue-freie-Presse jemu hołd czyni przez zakupienie powieści: Bez serca? Nie wiem także czy mam teraz prenumerować to polakożercze pismidło dla feljetonu nestora powieści polskiej, czy też pomnąc na oszczercze artykuły tego pisma pozbawić się przyjemności czytania nowego utworu Kraszewskiego. I tak źle i tak nie dobrze. A ztąd uwaga: Kraszewski mógłby się obyć bez Neue-freie-Pressy, którą porządni ludzie dawno za okno powyrzucali.

K. B.

ECHA.

Ziomkowie nasi, którzy po ostatnich pogromach zmuszeni byli lub dobrowolnie wydalili się za granicę, a nawet do innych części świata, zaczynają obecnie powracać na ojczystą ziemię. Snać otucha lepszej przyszłości wstąpiła w ich serca. I tak:

Przed dwoma niespełna laty, przybył na kilka miesięcy, pan Karol Brzozowski, zaszczytnie znany poeta, z Azji, ze Smyrny, gdzie był i jest obecnie konsulem hiszpańskim. Słyszeliśmy, że ma złożyć urząd i powrócić na stały pobyt do kraju.

Także przed dwoma niespełna laty, aż z najdalszych kresów Ameryki, bo z Kalifornii, przybył pan Juljan Horain z rodziną, i przemieszkawszy rok we Lwowie, od przeszłej wiosny przeniósł się na stały pobyt do Krakowa, czyli — jak sam powiada — do Jagiellońskiego Matecznika. Nie potrzebujemy dodawać, że Juljan Horain, niegdyś obywatel na Litwie, oddawna zaszczytnie jest znany w piśmiennictwie polskiem, jako powieściopisarz, podróżnik, dziennikarz, humorysta. Parę jego artykułów jużeśmy drukowali w naszem czasopiśmie. On pierwszy założył i redagował gazetę polską w Nowym Yorku, mającą znakomitą wartość literacką i polityczną; a dla przybranej swojej ojczyzny Stanów Zjednoczonych, przysłużył się wydaniem, według własnego pomysłu «Symbolical Centenary Chart of Amerikan History.» Kongres w Waschingtonie uznał tę pracę naszego ziomka za pożyteczną i przyznał mu ośmnastoletni przywilej własności. Wiemy także, że szanowny nasz rodak ma inny pomysł, bardziej jeszcze pożyteczny, naukowy i patrjotyczny, na wykonanie którego brak mu jedynie środków materjalnych.

Przeszłej wiosny powrócił także z Kalifornji Rudolf Korwin Piotrowski, weteran z 1831 roku. Zatrzymał się w Paryżu, gdzie się leczy na oczy u Dra Gałęzowskiego.

W bieżącym roku ma przybyć do Galicji, a względnie do Krakowa pan Aleksander Elgass, długoletni sekretarz i jeden z założycieli «Towarzystwa Polaków w Kalifornii.» Pan Elgass jest rodem z Galicji: ma tu krewnych, kolegów, przyjaciół, a w Ameryce zostawia o sobie bardzo zaszczytne wspomnienia.

Dowiadujemy się także o zamiarze powrotu do Galicji pana Juljusza Andrzejkowicza, niegdyś obywatela Grodzieńskiej gub-

do koła niego panowała cisza grobowa, zakłócona jedynie cykaniem starożytnego zegaru. Raz tylko do roku — i to regularnie w dniu 31 marca — przerywana zwykle bywała ta uporczywa cisza. W dniu tym oblicze pana Jagielskiego rozjaśniało się, sam stawał się rozmówniejszy, młodszy i niejako weselszy. Jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej uporczywa cisza zamieniała się w dniu tym w wielką krzątaninę; salon błyszczał uroczystą świeżością, w świecznikach zasadzano nowe świece, stół zastawiano najprzedniejszemi naczyniami srebrnemi, a na kominku rozniecano ogień. Rozwarte na oścież podwoje oczekiwały na przyjęcie gości.

Tak się działo raz jeden do roku; — dzień ów dla pana Jagielskiego był nad wyraz miły, lecz skoro minął, nastawał znów dawny monotonny i niepocieszony żywot, jak przedtem.

Do stołu w dniu owym nie zasiadali jednak młodzi, pełni humoru biesiadnicy; nie — wszyscy zebrani byli sami starzy, starcy nad grobem stojący. Wszyscy oni należeli do tej dziarskiej drużyny, która walczyła w Polsce w r. 1831 pod Wawrem; wówczas stanowili oddział, składający się z sześćdziesięciu przeszło młodych, walecznych rycerzy, — z biegiem atoli czasu liczba ta ciągle coraz bardziej malała... Część młodzieży padła w boju, część wymarła w czasie późniejszych wypadków, maleńka zaś garstka, uniknąwszy nieszczęsnych przygód, wróciła do Warszawy. Do tych należał też pan Jagielski.

Od owych czasów upłynęło więcej jak czterdzieści lat, więc naturalnie pierwiastkowy poczet walczących za wolność bohaterów stale, bez przerwy się zmniejszał, aż nakoniec z licznej niegdyś młodzieży pozostało zaledwie kilka starców zgrzybiałych.

Oni to schodzili się u pana Jagielskiego w pamiętnym dniu, by spędzić razem czas i uczcić pamiątkę; najstarszy z obecnych, — którego inni w przyjacielskich żartach zwali «panem jenerałem,» wspominał najprzód tkliwemi wyrazy o czasach minionych i mówił o znaczeniu rocznicy, wszyscy zaś społem czcili pamięć tych towarzyszów, których już na zawsze brakło, przypominając sobie ich słowa, czyny, nadzieje. Zawsze zaś przed rozejściem się «pan jenerał» powstawał, podnosił czaszę i z rzeźkością mówił: «Bracia, oby w roku przyszłym nikt z nas nie chybił!»

Jakkolwiek powoli, wciąż jednakże czas płynie, zabierając z nielitościwą siłą wszystko, co uważa za swoje. Więc nastała po latach chwila — znowu w dniu 31 marca, — kiedy zeszli się tylko dwaj... tylko dwaj...! Był to Jagielski i Szymanowicz, ostatni z licznego grona. Przed kilkoma laty było ich siedmiu, po roku tylko pięciu, następnie czterech, potem trzech, nareszcie... tylko dwóch! Gdy nastał dzień pamiętny, pan Jagielski witał swego ostatniego druha ze łzami w oczach, uścisnął mu w milczeniu dłoń i wyrzekł: «Czegośmy to doczekali — oto resztki naszego oddziału! Gdzież inni?»

— «Gdzie inni?! Zielone mogiły porastają nad nimi; pokój im, pokój i tobie jenerale!» — rzekł pan Szymanowicz, stłumionym głosem i zasiadł u stołu na zwykłem miejscu. Nie było teraz tak gwarno jak dawniej, przed laty, bo dwaj już tylko starcy siedzieli za stołem, gawędząc o tem, co przeżyli i wspominając, czego doświadczyli... Zaiste była to biesiada bardzo smutna.

Gdy nakoniec po północy pan Szymanowicz zabierał się do wyjścia, zatrzymali się obaj starcy u progu, wymownie spojrzeli sobie w twarze i pan Jagielski, westchnąwszy z głębi serca, rzekł z cicha: «Ach... jak to będzie za rok?!»

«Zejdziemy się jeszcze raz...?» zapytaniem na zapytanie odrzekł Szymanowicz.

— «Ha! może już nie...!»

— Stawi się tylko jeden... jeden, jedyny!..»

— Jeden jedyny...»

— Biedny!»

W źrenicach ich zabłysły gorzkie bolesne łzy, — objęli się serdecznie i głośno zapłakali. . . . .

. . . .

W kilka potem miesięcy, pod jesień, gazety warszawskie doniosły, że pan Szymanowicz, jeden z ostatnich kapitanów wojska polskiego, zgasł w Panu.

Czytający tę smutną wiadomość mówili z westchnieniem: «Tedy pan Jagielski jest ostatni!»

Można łatwo się domyśleć, jak ten wypadek wpłynął na sędziwego, zgrzybiałego Jagielskiego.

Jego włos jeszcze więcej pobielał, czoło wyraźniej poorało się zmarszczkami, głowa częściej niż przedtem chyliła się ku ziemi; ktokolwiek spojrzał mu się w oblicze — przeraził się i ulękł.

Jagielski prawie w oczach nikł, a osłabienie do tego stopnia wzrosło, że nie mógł wychodzić na ulicę; nawet po pokoju przejść mu było już trudno. Siadywał więc teraz jeszcze częściej u okna, w wysokiem krześle z poręczami, lecz im bliższy był dzień 31 marca, tem więcej starzec pogrążał się w smutku. W myślach kołysał się wspomnieniami o swych tak dzielnych niegdyś towarzyszach, o miłem życiu obozowem, o braterstwie; o każdym po kolei towarzyszu wspomniał z osobna, czasem szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy, rozmawiając z kimś niewidzialnym, często poruszał wtedy głową, a ręką machał jak rycerz w powietrzu, — słowem zdawało się wtedy, że Jagielski przebywał raczej między umarłymi, nie między żywymi.

Jednakże na trzy dni przed 31 marca dziwna zaszła zmiana; w sędziwego starca wstąpiły, zdawało się, nowe ożywcze siły. Z gorączkowem wzruszeniem polecił swej służbie, by jak innych lat tak i obecnie, poczyniła zwykłe przygotowania na przyjęcie «kolegów.» Wszystko miało zostać po staremu... jak przed trzema, pięciu, siedmiu i więcej... latami.

. . . .

Najpiękniejszy wiosenny dzionek zajaśniał nad Warszawą 31 marca; powietrze było czyste, a cała natura budziła się do nowego życia. Już wcześnie zrana zajął się pan Jagielski pilnie tem, aby wszystko było w zwykłym porządku; gdy już obejrzał wszystkie pokoje, przestąpił próg salonu, w którym zwykle zasiadali za stołem koledzy, — wstrzymał swe kroki i przejmującym do głębi głosem rzekł: «Nie ma już braci, — już tu oni się nie zbiorą!» Ze schyloną głową opuścił po chwili salon i zadzwonił na służącego.

«Wszystko w porządku?» — zapytał.

— «Wszystko, jaśnie panie!» — odrzekł służący.

«Dobrze, dziś z nikim nie chcę się widzieć... rozumiesz?»

— «Rozumiem, jaśnie panie! służący znikł za drzwiami.

Od tej chwili we wszystkich komnatach, które zajmował pan Jagielski, panowała cisza grobowa. Żadne drzwi się nie otwarł

Z powodów politycznych zmuszony on był opuścić rodzinną ziemię; udał się do Ameryki, gdzie w Filadelfji (Pensylvania) założył na współkę «Andrejkowicz & Dunk» dom handlowo-przemysłowy. Usilną pracą, rzetelnością i znajomością rzeczy, odrobił fortunę skofiskowaną w caracie.

Oprócz wyżej wymienionych, znajdą się zapewno i inni, którzy wyrobiwszy sobie zaszczytne stanowisko na dalekiej obczyźnie, zatęsknią do ojczystej ziemi i powrócą. Oby ich tu przyjęto z tak serdecznem, braterskiem uczuciem, jakie oni zachowali dla kraju.

Komitet Koła literacko - artystycznego w Krakowie nadesłał nam następującą odezwę:

«Koło artystyczno-literackie» w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs na wykonanie illustracji do ustępu z tragedji Juljusza Słowackiego; «Balladyna,» a mianowicie do słów:

Kirkor....... Moje smugłe łanie

Czy mnie kochacie?

(Akt I., scena 3cia).

Przeznaczona na ten cel kwota 500 złr. rozdzieloną zostanie jak następuje:

1. Autor rysunku uznanego za najbardziej odpowiadający myśli poety i wymaganiom artystycznym otrzyma za ten rysunek, jakoteż za cztery dalsze illustracje do «Balladyny» razem kwotę 350 złr. — która to kwota mniej więcej podwoi się z tantjemy przyznanej autorowi od sprzedanych egzemplarzy.

2. Za pozostałą kwotę 150 złr. zakupuje «Koło» dwa inne rysunki uznane za najlepsze po nagrodzonym, płacąc za każdy po 75 złr.

Rysunki wysokości 40 cntmr., szerokości 33 cntmr. mogą być wykonane kredką, węglem lub tuszem. Tylko rysunki zupełnie wykończone uwzględnione zostaną przez komisję oceniającą.

Ostatni termin nadesłania prac konkursowych oznaczony został na dzień 1-szy Października r. b.

Autor nagrodzony otrzyma od komitetu «Koła» tematy do dalszych czterech rysunków i zobowiąże się złożyć takowe w oznaczonym czasie i odpowiednio wykończone.

Do komisji oceniającej zaproszeni zostali pp. Bronisław Abramowicz, Dr. Adam Asnyk, Michał Bałucki, Kazimierz Barto-

ły, służący nie oznajmiał niczyjego przybycia; w przedpokojach służba stłumionym głosem opowiadała sobie przeróżne dzieje.

Pan Jagielski tymczasem wrócił do swej pracowni; upadł na fotel, głowę ukrył w dłonie, w piersi stłumił oddech... straszna boleść i żal ściskały piersi jego, z oczu trysnęły strumienie łez.

Nagle, jakby ze snu przebudzony, podniósł sędziwą głowę, powstał, wyprostował się, ręką odgarnął siwiznę, tupnął nogą i donośnym głosem zawołał:

«Jagielski, pamiętaj — dziś 31 marca!..»

Przy tych słowach oblicze jego przybrało wyraz uroczysty. Znów ożywił się. Pewnym krokiem zbliżył się do starej skrzyni, uważnie ją otworzył, odemknął ukrytą dla oka część skrzyni i wyjął z niej z największą ostrożnością złożone tam przedmioty. Był to mundur kapitana wojsk polskich i szabla z bogato wykładaną rękojeścią. Z niezwykłą starannością włożył na siebie mundur, przypiął szablę, i tak odziany postąpił ku wysokiemu kryształowemu zwierciadłu.

Prostoduszny uśmiech bez śladu goryczy zaigrał mu na ustach. Zebrał następnie niektóre stare dokumenty i przeszedłszy kilka razy przez pokój, zbliżył się ku drzwiom, prowadzącym do salonu; klasnął w ręce, lecz nikt się z wnętrza nie odezwał; sam więc roztworzył zwolna drzwi. Na progu potknął się nieco, następnie jednak śmiałym, prawdziwie młodzieńczym krokiem postąpił naprzód.

Zdawało się, jakby na wszystkie strony się kłaniał. Jak innych ubiegłych lat, tak i w tym roku zasiadł w stojącym w rzędzie innych poważnem krześle, rozstawił po pewnej chwili może ze dwanaście kielichów i każdy z osobna napełnił winem.

Zadumał się. Dokoła panowała niczem niezmącona cisza, przerywana od czasu tylko lekkim brzękiem szabli na miękkim kobiercu.

W kielichach napój srebrzyście się pienił.

Wkrótce widocznie pod wpływem przypomnienia sobie o uroczystości chwili, pan Jagielski przystąpił do pracy: począł mianowicie rozkładać i otwierać papiery, które przed chwilą był przyniosł. Były to ważne dokumenty dawnego oddziału z czasów od pierwszej chwili jego powstania aż do wygaśnięcia ostatnich członków.

Ponure archiwum, smutna historja!

Z głęboką tęsknotą przebierał po kolei jeden dokument po drugim, nie omijając nic z drogich pamiątek, a gdy już tym sposobem wszystko przejrzał, westchnął w głębi duszy: «Skończone, skończone!» Po chwili znów skinąwszy głową, jakby na znak jakiej zgody, zbliżył się do ognia i z wszelką skrupulatnością palił jeden dokument po drugim; wkrótce nie pozostało nic prócz lekkiego swędu i unoszącego się po posadzce leciuchnego zarzewia.

«Skończone, skończone!» powtórzył jeszcze raz.

Tak upłynęło kilka godzin. Na twarzy staruszka pojawił się mimowoli wyraz niepomiernego zadowolenia i błogiego spokoju. Było mu jakoś lekko — uczynił to, co za obowiązek sobie poczytywał. Wysoko na tylnej poręczy krzesła oparłszy głowę, cały zatopił się we wspomnieniach o czasach dawno, dawno ubiegłych; do serca, do duszy zbiegały się przedziwne roje wspomnień o czynach braci z całego szeregu lat...

Jak przed laty, tak i teraz widział, jasno widział przed sobą biesiadujących społem starych kolegów, słyszał ich gwarzących i zapalających się, widział jak nawzajem sam się z nimi weselił i marzył. Jakaż to rozkosz! Z każdym z osobna rozmawiał, każdemu od serca uścisnął dłoń, niejednego jak brata ucałował... było mu tak błogo w tem słodkiem *marzeniu*! Przymknął powieki, jak gdyby chciał dłużej ten powabny obraz zachować w duszy... I oto znów, znów widział ich, widział doskonale... wszak skłonili swe posiwiałe głowy, a teraz znów je hardo podnieśli... on o całem ich życiu rozpowiadał, a oni potwierdzali jego wywody.

Nic nie mąciło świętego spokoju. A jak piosenka u kołyski usypia dzieciątko, tak owo *marzenie* uśpiło rozkosznie sędziwego staruszka.

Minęła pierwsza popołudniowa godzina, a pan Jagielski wciąż jeszcze tonął w słodkiem marzeniu, nawpół drzemiąc rozkosznie i śniąc.

Wtem nagle silny wicher huknął ze wszystkich stron tak potężnie, że się z przeciwnej strony ulicy drzwi same z hałasem poroztwierały, a skrzyp ich, jakby jęk stłumiony, niemile wpadał w ucho.

Zmięszany, przelękniony zbudził się pan Jagielski z różowego snu.

Gdzie tam już podziały się te piękne i urocze obrazy, gdzie!..

Dokoła było pusto i martwo, — za stołem, gdzie jeszcze przed chwilą widział i słyszał licznych towarzyszów, było w rzeczywistości najzupełniej pusto, a przytem tak smutno, tak grobowo, jak nigdy przedtem.

Po chwili powtórnie zawyła wichura, że aż się okna zatrzęsły, — a do uszu staruszka doleciał jęk i huk rozwścieczonych żywiołów.

Zbliżył się do okna. Znikł bezpowrotnie ów prześliczny wiosenny dzionek, wszędzie naokół widać było zachmurzone niebo. Czarne chmury ciągnęły zewsząd jak straszne zjawisko, a burza ze wściekłością pędziła wzdłuż Wisły.

Starzec się zachwiał. Spojrzał w tę stronę... w dali płynęła Wisła, a za Wisłą ciągnęła się długa, długa równina... Ileż przecudnych wspomnień! Znów mu przypomniały się czasy dawno minione; przypomnienie wszakże było smutne, straszne.

Wzrok jego padł przypadkiem na stół, na próżne miejsca, zadrżał na całem ciele.

«Cudne były chwile mego marzenia — wszak znajdowałem się pośród *nich*...» wyrwały mu się stłumionym głosem z piersi słowa, poczem osunął się w krzesło. Głowa mu opadła na wzburzoną pierś, szablę objął oburącz i znów głęboko się zadumał.

Po chwili wszakże podniósł powoli głowę i mówił do siebie: «Jagielski, gdzieś podział swych towarzyszów, swych braci, swe sztandary, pomiędzy któremi ci było tak błogo?..» Skinął potakująco głową i dostał: «Tak, tak bracia, zejdziemy się znowu, pocieszymy się znowu!»

Prawdziwie był nie do poznania; oblicze pokryło się śmiertelną bladością, w oku ani iskierki życia, ręka drżała.

Pragnął powrócić w objęcia rozwianych ułudnych marzeń. Sięgnął po czaszę, gorączkowo chwycił ją... była napełniona po brzegi... napój się pienił... Wypił duszkiem — czasza wypadła z ręki na ziemię.

---

szewicz, Ludomir Benedyktowicz, Walery Gadomski, Juljusz Kossak i prof. Löffler.

Każdy rysunek, z dołączeniem koperty zapieczętowanej i opatrzonej godłem, a zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autora, powinien być złożony lub nadesłany na ręce Komitetu Koła artystyczno-literackiego w Krakowie (Rynek l. 16).

Kraków d. 30 Czerwca 1882 r.

za sekretarza: Prezes:

Kazimierz Bartoszewicz. *Juljusz Kossak.*

Otrzymaliśmy list następujący:

W numerze 2gim «Przeglądu literackiego i artystycznego,» umieścił pan M. B. krótką recenzyjkę mojej pracy p. t. «Etyka Spinozy, krytycznie rozebrana i z tegoczesnym materjalizmem zestawiona.»

Ponieważ pan M. B. nie uczynił mi żadnych innych zarzutów, jak te które podniósł pan prof. Struve w obszerniejszej krytyce, (Bibl. warsz. zeszyt kwietniowy), o której zresztą sam recenzent wspomina, nie odpowiadam Mu przeto z osobna, ale odsyłam Go do mojej odpowiedzi panu Struvemu, którą już wysłałem do Bibljoteki warszawskiej.

Czerteż d. 10 Czerwca 1882 r.

Aleksander Raciborski.

Z listu odebranego z Pawłowska od jednego z artystów krakowskich wyjmujemy parę wierszy:

«W ogóle robimy dobre wrażenie, zwłaszcza Wojdałowicz ze Stachowiczówną zbierają laury. Lada dzień, *może już we wtorek* wyjedziemy do Krynicy, bo Łukowiczowi (przedsiębiorcy) rwie się, publiczności mamy w teatrze bardzo mało, a drożyzna okropna.»

Tak więc mieliśmy ujrzeć trupę p. Koźmiana w przejeździe do Krynicy, gdy znowu dziś odebrany telegram donosi o pozostaniu jej nadal w Pawłowsku. — Garstka artystów, co zostawszy uprzyjemniała nam jako tako chwile, a nawet żywemi obrazami z Polonji pozostawiła bardzo miłe wspomnienie, rozpierzchła się już w ostatnim tygodniu, a dyrekcja wynajęła teatr trupie prowincjonalnej pani Piaseckiej. Wszystkie te hece z Pawłowskiem, z występami p. Ekera, trupą p. Piaseckiej, Krynicą itd. każą nam zapominać, żeśmy w Krakowie i że mamy

Ożywczy napój rozniecił ciepło w jego żyłach, cała twarz się znów rozweseliła; wreszcie z ust starca wionęła pieśń, uroczysta pieśń... Z całą dokładnością można było rozróżnić słowa pełne energji i wiary...

Pan Jagielski chciał się po chwili podnieść, lecz już nie mógł. Osłabł. Zwolna wydostawał się mu lekki oddech w piersi, wyraz nieskończenie błogi osiadł na jego twarzy, a owa pieśń, którą nucił, po pewnej chwili zamieniła się w szept cichy, w mięszaninę niezrozumiałych słów, aż w końcu zupełnie znikła.

Jeszcze raz machnął pan Jagielski po rycersku ręką, gorączkowo ścisnął w ręku szablę, jakby się z nią nigdy już nie miał rozłączać — na ustach jego pojawił się pełen słodyczy uśmiech, krzyknął: «bracia!» i głowa opadła znowu na wysoką poręcz kszesła....

Wierzcie, iż człowiek szczęśliwy jest, gdy marzy...

Tu znów się mocny wicher odbił o okna, przeciągle zawył, zahuczał, wciskając się wszystkiemi szczelinami do salonu, ale pana Jagielskiego nic już nie zdołało poruszyć... żył już z towarzyszami wspólnej niedoli!

Wiatr błąkający się po pokoju, śmiało igrał z włosami zgasłego starca, ale twarz jego długo zachowała poprzedni wyraz wspaniały i szlachetny. Zwolna poczęły na czole żyłki nabiegać, a wargi sinieć; a jednak wciąż się zdawało, że pan Jagielski, pogrążony we wspomnieniach, rozkosznie śni tylko o czasach dawno, dawno ubiegłych...

. . . .

. . . .

Na drugi dzień gazety oznajmiły, że pan Jagielski nagle skonał.

Gdy orszak pogrzebowy miał kroczyć ku cmentarzowi na Powązkach, zebrały się liczne tłumy rodaków, by pożegnać szczątki zgasłe starca, rozniosła się bowiem wieść, że zmarł ostatni kapitan licznej niegdyś *wiary*, walczącej pod Wawrem.

Z załzawionemi oczyma osobiści przyjaciele i rodacy zmarłego kładli na świeżą mogiłę wieńce, jako ostatnie dowody czci i poważania dla bohatera. Przystąpiła też wtedy młoda dama i położyła na grobie wspaniały wieniec z wymownym na wstędze napisem: «Drużyna.»

Była to wnuczka pana Szymanowicza, ostatniego współtowarzysza Jagielskiego. Jeszcze za życia zachowywał Szymanowicz przez wiele lat wstęgę do wieńca dla «ostatniego» — i gdy przewidywał już ostatni kres swego żywota, nie zapomniał o Jagielskim. Wręczył wstęgę swej wnuczce i drżącym głosem polecił jej, aby w razie jego śmierci nie zapomniała o złożeniu wieńca na grobie najdroższego «ostatniego» przyjaciela.

I tak się też stało...

Zapewne nie przeczuwał wtedy Szymanowicz, że polecenie jego będzie musiało przez szlachetną wnuczkę tak prędko być wykonane...

Taki koniec historji polskiego oddziału bohaterów.

USTĘP
z księgi VI. DON ŻUANA

LORDA BYRONA

(Strofa 26—86).

przełożył **Edward Porębowicz.**

Dokończenie.

---

69. Wtem w oczy wpadła piąta... Patrz! a co to?
Dama jak mówią, „wiekowa,“ — choć ręczę,
Sto lat nie miała — zresztą nie dbam o to
I nad krzyżyków jej liczbą nie ślęczę;
Dość, że tam spała z niepiękną prostotą
O! bo minęły już dla niej chwil tęcze
Onych, gdy drzemał mąż przy swej kobiecie,
Marząc o grzechach swych i swoim bycie.

70. A Dudu?.. jakże spała pod tę porę?..
Nie dowiedziałem się, mimo podsłuchy
A kłamstwa w swoje usługi nie biorę;
Północ wskazały już zegarów ruchy,
Światło lamp było mdłe i jakby chore
A po komnacie jęły biegać duchy...
Może widziały je te, którym znośną
Jest ich obecność — wtem krzyknęła głośno.

71. A to tak głośno, że jak po wystrzale
Całe dam grono z łóżek się porwało;
Matrona, panny i te których wcale
Nazwać nie mogę.... jakby pchnięte wstało
Morze i biegło, — tak biegły przez salę
Zdumione, pełne trwogi co się stało,
Nie wiedząc równie jak ja, co za licho,
Straszyło Dudu spokojną i cichą. —

72. Już obudziła się — a wszystkie one
W bieliźnie, z włosem rozwianym na skroni,
Z okiem błyszczącém, naprzód pochylone,
Z odkrytą piersią, która zda się roni
Blask jak meteory owe zrodzone
W polarnéj strefie... z trwogą biegły do niej;
Była wzruszoną, przelęknioną, drżącą,
Oczy rozwarte miała, twarz gorącą.

73. Lecz dziwna rzecz, świadcząca jak jest zdrowy
Twardy sen... przy niej Joasia tak blisko
Leżała jak mąż obok swej połowy
Święcący drzémką błogie stanowisko...
A nie zbudził jej krzyk, ni gwar rozmowy
Aż ją szarpnęły schylając się nisko;
Wtedy dopiero otwarłszy oczęta
Ziewnęła, patrząc niby dziwem zdjęta.

---

do czynienia z tą «sceną narodową, która sztandar sztuki» itd. itd.

Do Krynicy i innych miejsc kąpielowych wybiera się p. Zenoni, artysta teatru krak. chwilowy jego reżyser, a znany zaszczytnie jako deklamator. Pan Zenoni w Kole literackiem szczęśliwie urozmaicał wieczorki swą dobrą i pełną uczucia deklamacją, nie wątpimy więc, że i w Szczawnicy, Żegiestowie itd. znajdzie przychylne przyjęcie.

«Timesy» nasze zajęte rozmaitego rodzaju «szkicami» nie miały czasu przypatrzeć się owocom poważnej pracy w kierunku artystycznym t. j. wystawie szkoły malarskiej i rzeźbiarskiej dla kobiet, istniejącej przy Muzeum przemysłowem p. Baranieckiego.

Nasze skromnych rozmiarów pismo nie może wyręczać codziennych potęg bibulastych, ale choć kilku słowy pragnie podziękować dyrektorowi Muzeum oraz pannie Bierkowskiej i pp. Hipolitowi i Stanisławowi Lipińskim za ich pracę około rozbudzenia zamiłowania do malarstwa pomiędzy płcią piękną i za rezultaty jakie to zamiłowanie wydało.

Na wystawie w Muzeum spotkaliśmy się nawet z wybitnym talentem. Mówimy tu o pannie Rożniatowskiej, której studja malarskie i rzeźbiarskie wiele zapowiadają, zwłaszcza portret w glinie młodej kobiety pod względem modelowania mało pozostawia do życzenia. Również zwracały uwagę w dziale studjów malarskich prace panien: Walewskiej, Goeblównej, Redolfi, Chwalibogównej.

Do dzieła Dra H. A. Müllera: «Biographisches Künstler-Lexicon der Gegenwart» potrzebne są krótkie biografje polskich żyjących artystów wraz z wymienieniem ich prac główniejszych.

Ponieważ Redakcja «Przeglądu» wezwaną została do pośredniczenia w tej sprawie, a interes naszej sztuki wymaga, abyśmy nie chowali się przed Europą, lecz owszem z owocami działalności naszej wszędzie występowali — przeto Redakcja uprasza niniejszem wszytkich polskich artystów, aby odpowiednie biograficzne notatki pod jej adresem przysyłali.

Redakcja uprasza osoby posiadające okazowy numer 1-wszy «Przeglądu» o nadesłanie go do administracji, która także Nr. ten jako wyczerpany nabywa po 20 c.

74. Teraz zaczęło się ścisłe badanie;
Ale, że wszystkie chciały mówić naraz,
Domyślając się, dziwiąc, więc te panie
Mogły i mędrca wprowadzić w ambaras
Że odpowiedzieć jasno nie był w stanie;
— Dudu nie była niema, jak karp, karas,
Ale nie będąc mówcą, jako Grachy [1])
Nie wyjaśniła, czy to były strachy.

75. Nakoniec rzekła, że gdy ją sen zmorzył
Śniła, że chodzi po cienistym lesie.
— (W takim pobłądził Dante, kiedy dożył
Wieku, gdy wszystko ku dobremu pnie się.
Życie jest karczmą, w której gdy los wdrożył
Kobiecie cnotę, szorstkość mężczyzn zniesie) —
I że w tym lesie jak zasięgło oko
Rosły jabłonie rozsiadłe szeroko.

76. A w samym środku stała jabłoń złota,
Zaczarowana — a na samym szczycie
Złote jabłuszko — ją wzięła ochota
Na piękny owoc... patrzy, wzdycha skrycie,
Chce dostać, skacze, kamieniami miota,
Jabłko spaść nie chce i wisi niezbicie
Na swej gałązce, chwieje się i kiwa
I mruga na nią i jakby wyśmiewa.

77. A kiedy próżno tak siląc się stała,
Jabłko upadło samo i stoczyło
Się do jej stóp; tak ona je porwała
I chciała wbić w nie ząbki z całą siłą;
A kiedy usta już nachylić miała
Do jabłka, co ją tak we śnie bawiło
Frunęła pszczoła zeń i tak ją w szyję
Ukłuła!... dotąd z trwogi ledwo żyje.

78. W dźwięku jej mowy znać było zmieszanie
I przestrach, zwykłe następstwo dziwacznych
Snów, których pojąć nie jesteśmy w stanie
A które strwożyć mogą nieopatrznych;
Wiem o niejednym już śnie, co się zda nie
Marą ale proroctwem; dziś dla bacznych
Dusz nazywa się to dziwo: „przeczucie“ [2]).
— Wyraz stworzony na zmysłów popsucie.

79. Kobiety, które miały już omdlewać,
Zwykle jak kiedy minie chwila trwogi,
Zaczęły trochę dąsać się i gniewać,
Że się tak darmo zerwały na nogi;
Matrona także, że zamiast wygrzewać
Łóżko, snów słucha dziwnych jak rarogi,
Łajała Dudu; ta z minką litośną
Rzekła: Ach! żal mi, żem krzyknęła głośno.

80. „Znam powieść o: „kogucie i o byku;“
Ale o jabłku, co z drzew samo leci
Nie wiem. Patrz! tyle narobiłaś krzyku,
Że pobudziłaś wszystkich — w pół do trzeciej—
Myślałam, że świat chyba jest na zniku!
Musisz być chora, dziecię! zaraz że ci
Sprowadzę jutro doktora — on zbada
Co to za słabość, która cię napada.

81. Biedna Joasia! Robaczek najlichszy
Ma domek, gdzie się w cichym śnie zasklepi.
Myślałam, że jej snu nic nie zawichrzy,
I że niesamej spać będzie jej lepiej,
Że się przy Dudu ze wszystkich najcichszej
Po niewygodach drogi snem pokrzepi...
Tymczasem muszę ją przenieść — to jasne
Do Loli, chociaż jej łóżko za ciasne.

1) „But being, no orator as Brutus is“
1) ... A „strange coincidence,“ to use a phrase
By which such things are sett led now-a-deys.

82. Oczęta Loli błysnęły radośnie
Lecz w oczach Dudu zaczęły majaczyć
Łzy; zapomniała o łajaniu, o śnie,
Prosiła tylko, aby jej wybaczyć
Chciały pierwszy błąd;.. że ona wyrośnie
Z tej wady... jeśli nie chcą jej zrospaczyć
Niechaj nie biorą dziś Joasi od niej...
Ona już takiej nie popełni zbrodni...

83. Odtąd codziennie już bez widzeń zaśnie
Przynajmniej marzyć będzie już po cichu...
Że nie myślała sama, iż tak wrzaśnie,
Hallucynacja, ot... temat do śmiechu,
Nerwowe rozdrażnienie... to są baśnie
Lecz jakaś dziwna władza jest w tym lichu...
— Prosi: „Przebaczcie mi; ta słabość minie.
I zdrową będę jak nigdy — w godzinie.

84. Tu i Joasia zaczęła jej bronić
Mówiąc, że wcale nie wini niebogi;
Że właśnie one, gdy zaczęły dzwonić
Głosem krzykliwym, takim jak dzwon trwogi,
Obudziły ją; że się nie chce chronić
Gdzieindziej, bo jej nocleg taki błogi
Z Dudu... co tak niewinna... poznać z twarzy.—
— Tylko, że czasem „mal à propos“ marzy.—

85. Gdy tak mówiła, pięknej Dudu głowa
Przytuliła się do Joasi łona,
Lecz widna była szyjka... tak pąsowa
Jako rozwitej w krąg róży korona;
Czemu spłonęła?.. nie wiem — jest to nowa
Zagadka w obłok mistyczny wtulona;
To jedno wiem, że prawdy chęcią dyszę
I jak słyszałem, tak wam tutaj piszę.

86. A więc dobranoc im! . . . .

MLJONOWA PANNA.

Historyjka, jakich wiele.

PRZEZ

L. K.

IV.

(Ciąg dalszy).

Słowa: «smutna to rzecz kochać bez nadziei» tak utkwiły w pamięci panny Jadwigi, że brzmiały przez cały dzień w jej uszach, jak uprzykrzona nuta. Ale nie los hrabiego Alfonsa tak ją niepokoił: wcale inny obrót wzięły jej myśli. Głos jakiś tajemny szeptał jej do ucha: «Zkądże pewność, że on ciebie kocha? Jako artyście, podoba mu się głos twój, wdzięczny ci jest, że dla niego śpiewasz — i oto wszystko! Wiadomo powszechnie, że artyści jak prędko się unoszą, tak i ostygają prędko. To jeszcze nie miłość!..»

Z drugiej znów strony zaczynała ją niepokoić rażąca różnica jego stanowiska towarzyskiego. Demony pychy tego świata, które ją otaczały, mówiły jej, że miłość możebną jest wtedy tylko, kiedy jest otoczoną zbytkiem, wszelkie zaś kłopoty materjalne zabijają ją. Kochanek lub mąż, zaprzątnięty trywjalnemi rachunkami życia, zdawał się jej parodyą kochanka lub męża, pozbawioną godności i uroku...

To znów inny kierunek przybierały jej myśli: «Skoro on zostanie moim mężem» — mówiła sobie, mimowolnym a prześlicznym przy tych słowach oblewając się rumieńcem, — «to zaniecha oczywiście dawania lekcyj muzyki — i cały wolny czas poświęci tworzeniu arcydzieł... On będzie tworzył, a ja wykonywać je będę!.. Toż prześlicznie, cudownie!..»

I panna Jadwiga klaskała w ręce jak dziecko, uśmiechające się do cacka... Ale po chwili znów chmurka zasępiała jej czoło, bo przyszła jej refleksja, że świat zwykle z pewnem lekceważeniem, a nawet tajemną pogardą, patrzy na mężów, którzy wszystko zawdzięczają swym żonom... «Ja tego nie zniosę!» — myślała..

Po razy kilka tym sposobem wpadała z jednej ostateczności w drugą: to była szczęśliwą, że «ukochanemu» może dać tak dużo, dumną, że nie jest jak inne panny z jej świata, bo gardzi lichemi ich przesądami... to znów w skrytościach serca czyniła losom wyrzuty, sama przed sobą rumieniąc się za nie, że Feliks nie jest tak bogatym jak hr. Fąsio, lub hr. Fąsio nie posiada talentu i uroku Feliksa.

Po obiedzie ciotka przyszła ją nawiedzić w jej buduarze, a wkrótce potem zameldowano hr. Alfonsa, który wszedł natychmiast, jak gdyby uprzedzając ewentualną odprawę. Panna Jadwiga niewiedzieć czego zarumieniła się; wyrzucała to sobie jako śmieszność, lecz im bardziej wyrzucała, tem bardziej piekła raki... Zresztą była wdzięczną hrabiemu Alfonsowi, że zachowywał się nadzwyczaj skromnie i trzymał się zdala od niej, bardzo mało mówiąc, lecz przypatrując się wciąż usilnie swojemu nowiuteńkiemu, błyszczącemu jak zwierciadło cylindrowi, jak gdyby oglądał w nim własną banalną fizjognomję swoją...

Odwiedziny ciągnęły się niedługo. Mówiono o samych potocznych rzeczach; ale zdawało się pannie Jadwidze, (czyżby to miała być próżnostka?), że w głosie hr. Alfonsa, wówczas nawet, gdy mówił o pogodzie, brzmiała smutna jakaś nuta, niby echo cierpień serdecznych, do których przyznać się nie chciał...

— Pewnie martwi się, biedny, że bukietu jego nie przyjęto!.. myślała panna Jadwiga... I tak była wzruszoną jego niemym smutkiem, że nawet podała mu rękę uprzejmie, kiedy się zbliżył pożegnać ją... Przy czem zdawało się jej, że zrobił był ruch mimowolny, aby podnieść do ust podaną sobie rękę, lecz powstrzymał się, skłonił — i wyszedł pospiesznie...

Po wyjściu jego dziwne myśli opanowały głowę naszej «marzycielki»:

— Mylnie sądziłam o nim — wyrzucała sobie — ciocia ma słuszność: pod zimną i konwencjonalną powierzchownością kryje się tam serce czułe i mężne...

Tymczasem pani baronowa, puściwszy wodze wymowie, tryskała całą kaskadą pochwał dla swego protegowanego:

— Jakim on jest wzorowym synem! a wiadomo, że dobrzy synowie zawsze bywają dobrymi mężami... Jest przytem poważnym i statecznym, pomimo licznych pokus, nastręczanych przez bogactwo... A jaki ma smak wykwintny! Powiadają, że jego kawalerskie mieszkanie jest wzorem gustu najwyszukańszego, prawdziwym przybytkiem sztuki... Ileż to panien, paniem młodych, pięknych i bogatych, wzdycha do niego... I nie dziw! Tak jest dystyngwowanym, przystojnym, rysy twarzy ma takie regularne, a przytem jak się ubiera, jak się ubiera! To rozkosz prawdziwa patrzeć!..

Pochwałom nie było końca... nareszcie znudziły one i zniecierpliwiły na dobre pannę Jadwigę, aż w duchu zaczęła zadawać sobie pytanie:

— Czyż cały dzień myśli ciocia przesiedzieć u mnie?..

A mimo to jednak, — gdyby ktoś umiał czytać w tajnikach jej serduszka, spostrzegłby tam pewien rodzaj zadowolenia próżności, że osoba jej przyprawia o rozpacz człowieka tak «dystyngwowanego i eleganckiego,» do którego, tyle panien wzdycha tylko tęsknie a napróżno...

Nazajutrz była próba jeneralna w salonach pani Amelji — i odbyła się bez żadnych szczególnych wydarzeń. Tylko panna Jadwiga, której serduszko uderzyło żywo i twarz się zarumieniła przy wejściu pana Feliksa, czuła się w początku jak gdyby dotkniętą i upokorzoną, że znikła dlań zupełnie w tłumie amatorów przepełniającym salon. Lecz wkrótce nastąpiła dla niej chwila tryumfu. Kiedy śpiewała swoją aryę (a czuła to, że śpiewała ślicznie) zdawało się jej, że jego wzrok, mówiący i pełen ognia, wyłącznie na nią był zwrócony, świecąc rzewnego zachwytu wyrazem. Na tem skończyły się wrażenia dzisiejszego dnia. Otrzymawszy od baronowej pozwolenie odwiedzenia jeszcze jej salonu dla ostatecznych egzercycyj z panną Jadwigą, «muzykant Sledek» oddalił się, nie powiedziawszy ani jednego cieplejszego słówka swojej uczennicy.

Pani Amelja uprosiła przyjaciółkę, aby pozostała u niej do wieczora, tłumacząc pani baronowej, że potrzebuje pomocy Jadwisi w ustawieniu nowych roślin i kwiatów w cieplarni. Ciotka, udzieliwszy swego pozwolenia, szepnęła do ucha pani Amelji:

— Pomów z nią o hrabi Alfonsie...

Kiedy więc w chwilę potem dwie młode osoby zostały z sobą sam na sam, gospodyni, posadziwszy przy sobie na kozetce pannę Jadwigę, ucałowała ją i rzekła:

— No, moja mała hipokrytko!.. Powiedz mi nareszcie, co to wszystko znaczy?

— Co to jest: «to wszystko»? zapytała panna Jadwiga, udając, że nie rozumie...

— Nie rozumiesz, to ci powiem. Dowiedz się, moja najmilsza, że jesteś straszliwą kokietką, pomino twej minki niewinnego aniołka. O blondynki, blondynki!.. Mówią o was, żeście Bogu ducha winne, a tymczasem panna dobrodziejka bałamucisz dwóch biedaków naraz. Poważnego Fąsia *mon sot* przyprawiasz o rozpacz, a jednocześnie każesz szaleć za sobą memu biednemu artyście...

— Czy on ci mówił coś o tem?

— Kto? Hr. Fąsio?

— Ależ nie! Nie udawaj, że nie wiesz, o kogo pytam. Co on ci mówił?

— Co mówił? Mnóstwo głupstw, jak każdy zakochany. Jednakże słuchałam go cierpliwie; naprzód dlatego, żem bardzo dobra, powtóre — że mię to interesowało, a po trzecie — żem się czuła w obowiązku oblać go trochę zimną wodą, bom go zapytała w końcu jak najnaturalniej: a czy pan wie, że jest to panna miljonowa?

— O, moja Ameljo, jak ja nienawidzę ten swój miljon!.. wykrzyknęła panna Jadwiga ze łzami w głosie, zakrywając rączkami oczy...

— Wierzę ci całem sercem, że w tej chwili mówisz szczerze... Ale ta «nienawiść» nie potrwa długo... Miljon ma swoje dobre strony, i ma ich wiele, tak dalece, że jestem zupełnie spokojną, iż nie poszłabyś nigdy za radą swego Don Kiszota-artysty...

— Cóż on radzi?

— Prawie nic, tylko powiada: «Niech ona rozda swój miljon ubogim, a mnie pozwoli pracować dla siebie!..» Bardzo to piękne, ale wiesz, co to znaczy? Oto musielibyście mieszkać gdzieś na trzeciem piętrze od tyłu, trzymać jedną służącę, chodzić piechotą i czasami tylko pozwalać sobie wielkiego zbytku: przejechania się w fiakrze, lub omnibusie!...

Panna Jadwiga siedziała ciągle z twarzą, zakrytą dłońmi; niewiadomo tedy, jakie wrażenie wywarły na niej te słowa.

Była chwila milczenia.

— Cóż tedy, moja Jadwisiu? — mówiła dalej pani Amelja. Chcesz — dam ci radę praktyczną: możesz pogardzać swoim miljonem, skoro ci to sprawia przyjemność, ale się go nie wyrzekaj, nawet «dla niego...» Bądź spokojna: Don Kiszot nie będzie się gniewał, jeśli jego rad nie usłuchasz. Pogardza on wprawdzie banknotami i stawia nad wszystko «jenjusz,» ale skończy na tem, że przyjmie twój miljon, choćby w przekonaniu, że mu tem czyni

zaszczyt... Zadasz mu *douce violence*, z którą pogodzić się nie trudno!.. Zresztą — nie rozumiem, doprawdy, dlaczego dwojgu kochającym się ludziom ma być przeszkodą do szczęścia — miljon?.. Czyż to tak nieprzyjemnie mówić sobie wzajem: «Aniele! kocham ciebie!», siedząc w ładnej paryzkiej remizie, zamiast stojąc własnemi nogami na bruku? Sądzę, że z taką «nieprzyjemnością» najsurowszy nawet «jenjusz» oswoi się bardzo łatwo... Słowem — śmieszą mię trochę te romantyczne wybryki, chociaż je lubię... *w innych*...

— A *dla siebie* nie pragnęłabyś ich? szepnęła panna Jadwiga, osłaniając twarz i patrząc interlokutorce w oczy.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć — nie! Jestem sobie kobietą prozaiczną, przesiąkniętą do szpiku kości pewnemi... «przesądami...» Brak majątku kazałby mi niepokoić się losem moich dzieci. Napróżnobym wmawiała w siebie, że mój syn byłby dopiero wówczas prawdziwie pożytecznym członkiem społeczeństwa, gdyby konieczność rozwinęła jego zdolności, że moja córka byłaby stokroć szczęśliwszą, gdyby ktoś się z nią ożenił wyłącznie dla jej pięknych oczu i przymiotów duszy... Napróżno! kiedy kto inny głosi te piękne zasady, ja go popieram, nawet mu przyklaskuję oburącz, ale co się mnie tyczy, — zawsze jestem więcej zadowolona z tego, że życie mojego syna będzie łatwem i że dla mojej córki nie będę potrzebowała szukać męża, bo sam się znajdzie, skoro tylko dziewczynka przestanie bawić się lalkami... I wierz mi, że wcale nie byłabym rada, gdyby mi przyszło wydawać rubla na rękawiczki dla mego zięcia...

— W dziwny, doprawdy, sposób bronisz sprawy pana Feliksa, Ameljo!.. mówiła panna Jadwiga, trąc w zamyśleniu czoło...

— Ja nie bronię nikogo zgoła... Twoja ciotka, która myśli, że w tej chwili roztaczam przed tobą zalety hrabiego, myli się tak samo jak ty, która sądzisz, że ja proteguję mojego artystę i dla tego zatrzymałam cię tu...

— A, jeżeli tak, to pozwól się pożegnać...

— Poczekaj, Jadwisiu!.. zatrzymała pani Amelja powstającą. Pomówmy z sobą choć raz poważnie!.. Czy ty go kochasz naprawdę, czy to tylko twój kaprys chwilowy? Jestem pewną, że sama sobie nie potrafiłabyś w tej chwili dać jasnej na to pytanie odpowiedzi... A jednak wyjaśnić sprawę należy. Pan Feliks ubóstwia cię — jest to faktem; kocha cię już oddawna, nieśmiejąc sam przed sobą przyznać się do tego... Pomyśl więc: czy czujesz w sobie dość odwagi i wspaniałomyślności, aby się wyrzec raz na zawsze ubliżających mu porównań jego pozycyi z twoją? Maszli przekonanie szczere i głębokie, że jego talent tyle wart, co twój miljon; ani mniej, ani więcej?..

— Kiedy jestem przy nim, kiedy wykonywam jego utwory, — wtenczas mam to przekonanie.

— Ale potem, kiedy rozważasz rzecz zimniej?

Pana Jadwiga milczała...

— Mów otwarcie, nie potępię cię... naglila inkwizytorka...

— Nie wiem, nie wiem!.. zawołała Jadwiga, zrywając się z miejsca i znów zakrywając twarz, bo czuła, że się rozpłacze jak dziecko...

— Nie wiesz? zakończyła nieubłagana przyjaciółka z niezwykłą sobie powagą... Nie wiesz? W takim razie, radzę ci iść za Fąsia, a o artyście zapomnieć... Szkoda tylko, żeś zraniła to serce napróżno!..

Pan Feliks przyszedł nazajutrz odbyć ostatnią próbę z panną Jadwigą i znalazł ją siedzącą przy oknie, a obok niej — nieodłączną ciotkę... Ten ciągły dozór nie podobał mu się mocno... panna też wydała mu się dziś jakąś chłodną i sztywną...

Panna Jadwiga długo badała siebie po wczorajszej rozmowie z przyjaciółką, lecz nie przyszła do żadnego stanowczego wniosku. Wczorajszy jednak dzień sprawił, że ich dzisiejszy stosunek był trochę dziwacznym. Nie było w nim już nic tajemniczego, co w stosunku niewyjaśnionym stanowi tyle uroku. Osobiście nic sobie dotąd nie wypowiedzieli, a jednak — ona już wiedziała, że on ją kocha, on wiedział, że ją zawiadomiono o wszystkiem... Oboje tedy czuli się dziwnie skrępowanymi, brakło im wszelkiej swobody... Ona śpiewała jakoś machinalnie, on machinalnie jej akompanjował... Troskliwa ciocia nie miała dziś wcale kaszlu i uśmiechała się, zadowolona z siebie.

Skończyła się ostatnia próba. Wieczór z «wielką kantatą» miał się odbyć pojutrze. Do spotkania się przedtem nie było już żadnego pozoru...

Pan Feliks miał się już ku wyjściu, smutny i onieśmielony, kiedy szczęściem ciocię odwołano w jakimś interesie. Trwało to krótką chwilę, jednakże artysta umiał i z tej chwili skorzystać...

— Pani lubisz kwiaty? rzekł prędko — wszak prawda? Zalecam tedy pani, abyś obaczyła pojutrze pyszne rośliny, w które zaopatrzoną została cieplarnia przyjaciółki pani...

A potem dodał z drżeniem w głosie:

— Podczas tańców cieplarnia bywa zawsze próżną...

Panna Jadwiga spojrzała na mówiącego z trwogą, ale w tej chwili wróciła ciotka, skłoniła tedy głowę i spuściła oczy w milczeniu...

Panu Feliksowi zdało się, że zrozumiała go i zgadza się — wyszedł więc z sercem pełnem radosnych nadziei...

V.

— A!.. Czas upływa... Trzeba się nareszcie na coś zdecydować!.. powtarzała sobie często panna Jadwiga w ciągu dwóch dob, poprzedzających poniedziałkowy wieczór muzykalny u pani Amelji... I czuła się przez ten cały czas jak gdyby we śnie, oczekując z niepokojem chwili przebudzenia...

Nadszedł nareszcie ów wieczór. Panna Jadwiga przybyła nań w stanie jakimś gorączkowym, nie mając prawie świadomości co mówi i co robi.... A jednak strój jej odznaczał się szczególniejszą starannością, jak gdyby ważny bardzo akt życia spodziewała się w nim odbyć. Kiedy przyszła na nią kolej śpiewania, nie doznała żadnej zgoła obawy, nawet cienia tej «tremy,» która przy innych okolicznościach krępowaabły ją niezawodnie. Śpiewała tak śmiało, jak gdyby sama jedna była w salonie, chociaż setki ciekawych oczu w tej chwili na nią patrzyły... Nie widziała nikogo, bo zamiast licznego i świetnego auditorium, stał ciągle przed jej oczami — żywy obraz: cieplarnia, a w niej, śród egzotycznych roślin z długiemi, pierzastemi liśćmi, śród kwiatów o pięknych kształtach i jaskrawych barwach, w tajemniczym półcieniu *on* i *ona*... *On* — ubogi artysta i *ona* — miljonowa panna wykwintnego świata...

Pogrążona cała w kontemplacji owego «obrazu żywego,» zdziwiła się niezmiernie, gdy usłyszała frenetyczny wybuch oklasków, któremi jej dziękowano za śpiew. Nic o tem nie wiedząc, stała się bohaterką wieczoru, taki olbrzymi sukces miała arja, którą śpiewała. Kiedy się o tem przekonała — przyjemnie jej to było, ale i dziwnie jakoś, jak gdyby jej nie należało się to wcale.

Spojrzawszy parę razy do zwierciadła, spostrzegła nasza bohaterka, że wygląda dziś wcale ładnie i interesująco: sprawiło jej to więcej już przyjemności, bo tu nie czuła się uzurpatorką.

Tymczasem dreszcz nerwowy coraz bardziéj przejmował ją całą, w miarę zbliżania się chwili stanowczej. Uznawała ciągle, że trzeba postawić jasno kwestję: co ma *jemu* odpowiedzieć za chwilę: *tak* lub *nie?*... a jednak nie wiedziała nic dotychczas, nie była w stanie powziąść żadnego postanowienia...

Kantata zakończyła się wspaniałym chórem. Nastąpił ostatni akord, po nim przeciągłe oklaski — i sala zabrzmiała gwa-

rem jak rój pszczół spłoszonych. Powodzenie kantaty było ogromne; szczęśliwego autora otoczono, ściskano za ręce, osypywano tysiącznemi pochwałami, niepodobnemi do zwykłych komplementów banalnych. Kilka osób, należących do najwyższej arystokracyi rodowej i hierarchicznej, poznajomiło się z artystą i długo z nim rozmawiało: była więc i perspektywa zyskania stosunków chlebodajnych.

Po koncercie młodzież przymówiła się, jak zazwyczaj, o tańce, które też wkrótce zorganizowuno. Hr. Alfons poprosił zaraz pannę Jadwigę do walca — i ona podała mu rękę chętnie, a nawet skwapliwie. Uśmiech tryumfu poruszył ustami Fąsia, który ze zwykłą pewnością siebie pomyślał: «wygrałem bitwę!..» Tymczasem skwapliwość panny Jadwigi ten jedyny miała powód, że wszelki taniec odraczał chwilę «zwiedzenia cieplarni,» przejmującą ją niewypowiedzianym niepokojem i trwogą...

Pani baronowa, ujrzawszy z kim tańczy siostrzenica, uspokoiła się zupełnie i poszła «zrobić partję» ulubionego whista. Po hr. Alfonsie, tańczyła panna Jadwiga z jakimś bardzo młodym kawalerem, ozdobionym grzywką i strojnym jak rysunek z krawieckiego «żurnalu», a tańczyła z nim tak chętnie, rozmawiała z tak uprzedzającą uprzejmością, że młodzian był pewny, iż zrobił na niej wrażenie tak głębokie przynajmniej, jak było głębokiem wycięcie «gorsu» u jego kamizelki.

Przypominam pani przyrzeczony mi «tour» walca... rzekł pan Feliks, stanąwszy nagle przed swą uczennicą i przerywając w samym początku jakiś prześliczny frazes młodzieńca z grzywką, frazes, który miał właśnie zdobyć już ostatecznie serce panny...

— Służę pani... powtórzył pan Feliks, nie zważając na brzemienne gromem spojrzenie młodziana.

Pannie Jadwidze uderzyło serce żywiej, bo czuła, że «stanowcza chwila» już się zbliża. Podała jednak rękę z rezygnacyą gorączkową...

(C. d. n)

SZKICE ETNOGRAFICZNE

II.

POGRZEBY u TURKÓW

(*podług Grubego*).

Mahometanizm ma coś wspólnego z judaizmem nawet w ceremonjach pogrzebowych.

Śmierć rozłacza męża od żony. Jeżeli więc muzułmanin umrze, natenczas żona nie śmie go już więcej dotknąć, trup nie powinien pozostać w domu, ponieważ go zanieczyszcza i dlatego wynoszą go do kostnicy, która jest na każdym tureckim cmentarzu.

Wśród modlitw umywają nieboszczykowi ręce, nogi i twarz a następnie zatykają bawełna uszy, nozdrza usta i oczy, wkładają w ręce i pod podeszwy, aby przez rozkład ciała, nie nastąpiło zanieczyszczenie. Głowę golą zostawiając tylko na czubie kosmyk włosów. Następnie wsuwają nieboszczyka w worek płócienny z dwu stron otwarty, zaszywają go i wkładają do trumny podobnej do żydowskiej. Po zamknięciu wyskakuje Iman (kapłan) na wieko a wołając nieboszczyka po imieniu mówi: «Uważaj a nie pomyl się!» Z trupiarni wynoszą nieboszczyka do grobu, gdzie rozkładają ogień dla odpędzenia złych duchów, wyjmują trupa z trumny i kładą na deskę, na której go do grobu spuszczają. Kobiety grzebią w trumnach, ponieważ podług wiary mahometańskiej piękne połowy rodzaju ludzkiego są także uczestniczkami nieśmiertelności, nie dostają się jednak do raju, ztąd nie potrzeba z niemi żadnych robić ceregieli.

Przed wejściem do raju, musi się nieboszczyk mężczyzna w grobie należycie wyprostować, dlatego też tureckie groby są sklepione.

Nim jednak wejdzie w rajskie podwoje, musi odbyć kilka egzaminów.

Pierwszej nocy przybywa Szaïtan (szatan) w postaci węża i wciska się do grobu; następnie przybywa dwu aniołów chwytają nieboszczyka za czub, wyciągają z worka, sadowią między siebie i pytają: «kto jest twoim panem?» Jeżeli się nieboszczyk da uwieść i olśni go blask aniołów i powie: «moim panem ty jesteś» natenczas podpada potępieniu, ponieważ ceni więcej stworzenie, (choćby nawet anioła) niż Stwórcę. Do tego właśnie odnoszą się słowa upomnień Imana «Nie pomyl się!» Nieboszczyk więc powinien odpowiedzieć: «Moim panem jest Alllah.» (Bóg).

Gdy grób usypano, sadzą w około gałęzie cyprysowe, z któremi osieroceni szli za trumną.

Ziemia pokrywająca nieboszczyka uciska go tak, że wszysko mleko wyssane z piersi macierzyńskich, wypływa nosem. Jeżeli pomyślnie odbył egzamin, natenczas *kabir* (grób) jest dlań lżejszym z dniem każdym, a w końcu nie czuje już nawet ciśnienia ziemi. Dnia czterdziestego odpada nos a nieboszczyk krzyczy głośno z bólu. Gdyby ktoś z żyjących ów krzyk boleśny usłyszał, musiałby umrzeć w tej chwili z przestrachu. Ból powstały z odpadnięcia nosa mogą osieroceni znacznie złagodzić, jeżeli dnia czterdziestego rozdzielają pomiędzy sąsiadów *lokmę*, leguminę ugotowaną w oliwie.

Nieboszczyk ma także wydawać ów okrzyk boleści w chwili, kiedy go krewni przez próg domu wynoszą, ale miłosierny Allah, wiedzący, że żyjący nie mogliby znieść takiego krzyku, pozatykał im uszy,

Turcy przestrzegają najściślej, aby grobów nie zbeszczeszczano i aby nie zmieniano położenia nieboszczyków. Wierzą bowiem, że pewna część ciała, stanowiąca zarodek zmartwychwstania nie podpada zepsuciu. Ów zarodek zowie się *el aib*.

Teologowie muzułmańscy nie zgadzają się wszyscy jednak w tem, która to właśnie cząstka, dostępuje onego zaszczytu. Na pomnikach tureckich jest głowa w fezie, albo zawoju, pod nią arabski napis z imieniem i nazwiskiem nieboszczyka, wszelako o zaletach i cnotach jego nie wspominają w napisie, uważając to za niestosowne.

Pomniki na grobach kobiet nie mają żadnej oznaki; zdobi je tylko krzew—lotusowy, oznaczający nieśmiertelnośc kobiet, lecz mówi zarazem, że ich zdolności duchowe są mniejsze, niż u płci brzydkiej.

Fr. Ksaw. Mroczko.

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Dnia 9 przybył z Petersburga Ks. Oranji. Za dni kilka spodziewany jest Książe Wellington.

Dnia 10 kazano się zebrać uczniom Uniw. w sali szkolnej — gdzie minister W. i O. dał im napomnienie i oświadczył nieukontentowanie z polecenia wyższej władzy, z powodu nieprzyzwoitego się ich zachowania w dniu pogrzebu. Pan minister nie posiadający daru wysłowienia i mieszający się, gdy przyjdzie mu co przemówić w jakowem zgromadzeniu, czytał ułożone przez się naganienie w delikatném sposobie. Zajął głos rektor i ile się tylko dało, zmniejszał to uchybienie młodzieży, składając winę na kilku niebacznych. — Pogorszył sprawę kurator jlny Oebselwitz, który pompatycznie przemówił i w ostrych wyrazach przyganiał uczniom, mówiąc, że oni największe progresa robią ku niepodległości i nieuszanowaniu władzom rządowym, że gorzej wystąpili w dniu pogrzebu od szkół podwydziałowych, że zasłużyli na karę itd. Nie dano mu dokończyć — powstał szmer, sykanie, szurganie nogami. Koniec końcem, aresztowano winniejszych, wszystkim zaś uczniom wzbroniono wejścia dnia tego do katedry na nabożeństwo żałobne. Widziałem jak policja zatrzymywała i wołała: panom akademikom nie wolno wchodzić i t. d.

Dnia 12 wyjechał Ks. Oranii.

D. 13 wieczorem przybył Ks. Wellington i wysiadł w zamku.

Dnia 14 znajdował się Wellington na paradzie w mundurze rosyjskim. W. Ks. przedstawiał mu jenerałów. W czasie parady deszcz zaczął padać, Wellington udał się do zamku, gdzie jener. Kuruta przedstawiał mu wyższych wojskowych i oficerów gwardji. Dnia tegoż nad wieczorem, Wellington ubrany po cywilnemu, przechadzał się po niektórych ulicach z jenerałem Jentschem, adjutantem W. Ks.

Dnia 15 miała się odbyć parada przy wystąpieniu całego garnizonu — lecz wielka słota nie dozwoliła tego, a Wellington mimo nalegań W. Ks., aby się zatrzymał do dnia jutrzejszego opuścił Warszawę.

Szósty dzień obchodu żałobnego po zgonie ś. p. cesarza zakończył się dnia 13. Podług programatu odbyła się ceremonja przewiezienia insygniów z kościoła katedralnego do skarbcu sporządzonego w kasie jlnej w pałacu Krasińskich. Ordery zaś dnia tego odesłane zostały wszystkie do Petersburga. Nie mogą jeszcze ukończyć wybicia medalów na pamiątkę tego obchodu. Trzy razy pękł stempel w wybijaniu.

Dnia 15 uwolnieni zostali niektórzy z uwięzionych — ale natomiast przywieziono kilka nowych ofiar z prowincji, jedynie chyba, aby dręczyć, prześladować. Gdyż cóż dotąd żarliwy Nowosilcow wykrył? Usiłuje on koniecznie okazać, że Polacy należeli do spisku petersb. — na nieszczęście nie wiedzie mu się.

Dnia 17 i 18 starozakonni odbyli nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. cesarza. Znajdowali się na niem znakomici urzędnicy wszyscy z nakrytemi głowami, o co żydzi sami upraszali.

U nas rozliczne krążą wieści — i tak słychać: że wojska rosyjskie mają ztąd wyruszyć do Wilna, jeden tylko pułk ułanów ma pozostać. Wyjście to ma nastąpić wskutek systemu oszczędności w Petersburgu zaprowadzającego się — wiadomo bowiem, iż Rossjanie są tu płatni srebrem. Dalej 10.000 wojska polskiego ma być użytych przy robocie kanału, że znaczna część na urlopy będzie rozpuszczona. Że Nowosilcow uda się na posła do Londynu, a na jego miejsce ma być Łanskoj, jeden z członków rady najw. przy wejściu Rossjan do Warszawy 1812 r.

Dnia 23 odbyło się nabożeństwo za duszę ś. p. cesarza w kościele luterskim. Gmach ten najwięcej ludzi objąć może ze wszystkich tutejszych kościołów. Nieco pierwej kalwini także odprawili nabożeństwo żałobne.

W tych dniach dwa okropne wydarzyły się zdarzenia. Uwięziony u Karmelitów ksiądz Dembek, utłukłszy szkło, zjadł je z chlebem. Porwały go nadzwyczajne bóle, które przez dni kilka cierpiał, lecz staraniem lekarzów zdrów jest zupełnie. Jak słychać wspomniony duchowny, były mistrz loży massonów, nie przestawał robić prozelitów i aż do Rosji patenta przesyłał. Drugi wypadek nie mniej okropny: uwięziony Marcin Tarnowski, były pułkownik, poderżnął sobie gardło, lecz wczesny ratunek przy życiu go zachował.

Doszły nas wiadomości z Petersburga, że deputacja nasza, łaskawie przez cesarza przyjęta została, i że ks. Lubecki jest w łaskach u Najj. Pana.

(D. c. nast.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Nowy organ dydaktyki według metody Bakona. W Krakowie, w drukarni Uniw. Jagiellońskiego. 1882.

Dzieło powyższe składa się z dwu od siebie zależnych a drukiem wyróżnionych części: myśli obcych i własnych uwag autora. Jądro jego stanowi przekład polski „Nowego Organu“ Bakona (str. 75—169), w którym po każdym aforyzmie następują wnioski i wywody tłómacza-autora.

Łupiną z jednej strony jest życie Bakona skreślone przez p. Zarańskiego, (bo tak się zowie autor podpisany tylko na końcu wstępu) na podstawie znanej pracy niemieckiego uczonego Kuno Fischera (Francis Bacon und seine Nachfolger), z drugiej autora „Wskazówki dla szkoły z Nowego Organu Bakona“, i wzmianka o drugiem ważnem dziele Bakona „De augmentis.“ Wszystko to dopiero ujęte jest w ramy dziejów pedagogiki i dydaktyki od początków szkół starożytnych po rok 1620 i od r. 1626 aż do dni naszych zamknięte niby koroną pracy wnioskami i porównaniem wyników ze „Sprawozdaniem Komisji w sprawie reformy szkół średnich powołanej przez Akademiję Umiejętności w Krakowie“ jako też sprawą reformy szkół ludowych.

Kreśląc dzieje pedagogiki przed i po epoce Bakona trzyma się p. Z. artykułów Schmidt'a Encyklopedji wychowawczej, a przedewszystkiem artykułu Baura z t. V. a gdzie się nie zgadza z liberalnymi i protestanckimi zapatrywaniami autora, którego myśli większym oddaje drukiem, polemizuje z nim rozprószonymi uwagami drukowanymi petitem. Polemikę tę uważamy atoli nietylko za bezowocną ale wcale niepotrzebną. Wszak można było wziąć z tego artykułu tyle, ile się p. Z. podobało a przetrawiwszy to i połączywszy z własnymi zapatrywaniami, można było dać jednolity obraz historji wychowania. Wprawdzie oprócz polemiki znajdujemy tam ziarna prawdziwie cennych myśli, ale skoro sobie dla nich w końcu dzieła autor miejsce zatrzymał, można tu było z korzyścią dla rzeczy zrezygnować z nich śmiało.

Główną wskazówką, jaką p. Z. wyciąga dla szkoły z „Nowego Organu“ jest metoda indukcyjna. „Dydaktyka — mówi autor —pod klątwą niepowodzenia, słuchać jej powinna, jako naczelnej przewodniczki swojej i wszelkie inne nauczania ścieżki do jej głównego gościńca sprowadzać.“ Podnosi głos w słusznej sprawie nadania szkołom ludowym kierunku praktycznego, zostawiając wyższym idealny. Doszedłszy zaś do minionego wieku ponosi zasługi Komisyi Edukacyjnej, która pierwsza zastosowała indukcyjną metodę Bakona do wychowania publicznego, i stanęła na pierwiastku narodowym i religijnym określając, że „wychowanie dziecięcia jest osnową starań około niego na to, aby jemu było dobrze i aby z niem było dobrze“ czyli jak to p. Z. rozwija: to takie ich (dzieci) do życia sposobienie, aby wszystko na chwałę Boga, na swój i na ojczyzny pożytek czyniły.“ Kierunkowi narodowemu wypowiedzieliśmy posłuszeństwo od czasu, kiedy bez względu na indywidualność narodową tłómaczymy wszystkie prawie podręczniki szkolne z niemieckiego; brak karności w zakładach naszych dowodzi formalnego tylko nauczania religii, jako przedmiotu, która jako moralna dźwignia powinien przysposabiać młodzież do chrześcjańskiego czynu. Zapatrywania te swoje reasumuje p. Z. we „Wnioskach“ przyczem żąda dalej koncentracji nauki tj. połączenia gimnazjów ze szkołami realnymi, z zatrzymaniem atoli dwustopniowości tj. aby niższe gimnazjum przysposabiało do seminarjów ludowych męskich i innych podrzędnych zawodów.

Trudno się tylko zgodzić na „gramatykę porównawczą“ dla szkół średnich „obejmującą w jednej księdze lub dwóch wszystkie te języki, do których nauki dana szkoła obowiązuje.“ Porównywać da się tylko to, co w większej części wspólne zachowuje cechy; jednę rodzinę stanowiące aryo-europejskie języki dadzą się tylko w niewielu punktach porównywać i to przeważnie w głosowni i morfologji — składnie żyjących dotąd języków pod odmiennymi rozwinięte warunkami niezwykłe tu nastręczają trudności. Jeżeli zaś przez porównanie p. Z. chce i różnice uwydatnić, to rzecz to w ten sposób podjęta niepotrzebnie, bo się bez podobnej gramatyki jednej i dzisiaj tak dzieje. Naszem zdaniem daleko racjonalniejsze byłoby żądanie reformy w tym kierunku o tyle, aby przynajmniej w I. i II. klasie gimnazjalnej *jeden* nauczyciel wszystkich trzech języków uczył t. j. łacińskiego, polskiego i niemieckiego, zachowując metodę jednę i jednostajność terminologji gramatycznej. Ugruntowane w tych dwu latach zasady jednolitością postępowania by ułatwiły niezawodnie naukę gramatyki w punktach, jakich p. Z. żąda.

Niepodobna też również według żądania p. Z. „główne ognisko pracy ucznia przenieść do domu“ z pomocą książek ku temu sposobnie ułożonych. Jeżeli już nowsza pedagogika stanowczo się temu opiera, to sama metoda indukcyjna, której p. Z. jest gorliwym pionierem wskazuje, że uczeń pojąwszy stopniowo wszystko w szkole i zrozumiawszy powinien w domu tylko utrwalać to w pamięci. Lepiejby było pomnożyć liczbę godzin szkolnych, a mniej

dawać do domu uczniowi, niż zmniejszać pracę szkolną a obarczać go domową, której on nie zawsze bez pomocy mógłby podołać.

Porównywując nakoniec rzecz swoję ze „Sprawozdaniem Komisji Akademickiej“ (jak ją sam nazywa) przyznaje p. Z., że w ciaśniejszem obraca się kółku, ale że głównie dydaktyką się zajmuje, jest więc co do ogólnego kierunku gimnazjów niejako jego dopełnieniem. Podnosi słusznie brak zgodności między referatem ogólnym a szczegółowymi, szczególnie co do metody indukcyjnej, i brak uwzględnienia nauki ekonomii społecznej; zamykając zaś rzecz swoją „sprawą reformy szkół ludowych“ chłoszcze system gramatyczny rozpanoszony w tej szkole, w której dzieci nie gramatyki ale języka uczyć się powinny.

W całej pracy gdziekolwiek się sposobność nadarzy nie przepuszcza p. Z. błędom najwyższej w kraju władzy szkolnej, a zaprawiając swe pióro goryczą ironji, przedstawia, jak ta instytucja rozpocząwszy piękną odezwą zboczyła później z drogi i popadła w moc nepotyzmu i protekcyi, czego naturalnem stało się następstwem, że chcąc swe rzekome prace od krytyki ogółu usunąć otoczyła się sztuczną powagą i tajemniczością, Jowiszowe tylko z góry rzucając rozkazy.

Dla tego bogactwa myśli rozsypanych po całem dziele w formie jasnej i przystępnej, a będących wypływem zastanowienia się, badań teoretycznych i obserwacyj miłującego kraj i pragnącego dobra społeczeństwa obywatela, co osobliwie na niwie reformy szkół ludowych nie małe licznymi dziełkami położył zasługi, śmiemy je polecić gorąco nietylko tym wszystkim, których szkoła obchodzi z blizka, ale wszystkim prawym obywatelom, którzy pojmując jasno cel wychowania wiedzą, że w niem dzielność przyszłych pokoleń, a więc przyszłość nasza spoczywa. *R. Z.*

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

— Docent uniw. krak. Dr. *Józef Rosenblatt*, pracuje nad rozprawą o czarownicach, wchodzącą w dziedzinę przeszłości obyczajów naszych i prawa.

— Gazeta krakowska, zamieniona w pismo codzienne, pomiesza w odcinku nowellę *Blizińskiego*: Figiel pana Wojszczyca.

— Nakładem księgarni K. Bartoszewicza wyszedł „Przewodnik po Krakowie na r. 1882,“ odznaczający się dokładnością informacyj.

— P. *Antoni Próchaska* wydał nakładem Gebethnera cenne studjum z dziejów intryg dyplomatycznych p. t. Ostatnie lata Witołda.

— Komedje p. *Wład. Koziobrodzkiego* wyszły w nowem wydaniu.

— Ukazało się w języku polskim cenne studjum *Karasowskiego* o Fryderyku Chopinie.

— Nowa powieść trzytomowa *Kraszewskiego*: „Na tułactwie“ w tych dniach wyszła z druku.

— *A. Wilczyńskiego* powieść humorystyczna: „Na manowcach“ wydana została w Warszawie.

— „O żydach i kwestji żydowskiej“ — taki jest tytuł w owej pracy *Elizy Orzeszkowej*.

— Rektorem Uniwersytetu lwowskiego na bieżący rok szkolny obranym został dr. *Bronisław Radziszewski*, profesor chemji. Rektorem zaś Uniw. krak. został *X. Pełczar*.

— Dziełko prof. *Billrotha*: O pielęgnowaniu chorych w domu i szpitalu, wyszło w przekładzie polskim, staraniem *Kroniki lekarskiej* w Warszawie.

— Wyszło świeżo w Warszawie dziełko *Samuela Smiles'a* p. t. Obowiązek, w przekładzie p. *Adolfa Dygasińskiego*.

— XXXty zeszyt *słownika geograficznego polskiego* wyszedł już z druku i obejmuje miejscowości od Janicz do Jusranka.

— *J. Jeleński*: Żydzi na wsi. Warszawa, wydanie 2gie.

— *Tarnowski Jan*, hetman wielki koronny: Zasady sztuki wojennej. Lwów.

— *Tatomir Łucjan*: Ferye alpejskie. Wspomnienia miejsc i ludzi. Odbitka z *Gazety lwowskiej*.

— *Jan Mrówka*: Jakby się wieśniacy mogli rządzić. Lwów.

— *Koszczyc W.*: Wybrańcy losu, powieść w 2 tomach. Lwów.

— *Doniesienia warszawskie*, niedołężnie redagowane zostały zawieszone. *Tygodnik rolniczy* ma uledz przekształceniu i zmartwychwstać p. t. *Rola*.

— *P. J. Meyzner*, czynny pracownik nad oświatą ludu, założył w Raciążu „księgarnię ludową.“

— *S. Buszczyński. O grobowcu Bolesława Śmiałego.* Kraków.

— *Wrześniowski August: Tatry i podhalanie.* Kraków.

— *Ossowski Godfryd: Mapa archeologiczna* Prus zachodnich z przyległemi częściami W. Ks. poznańs. Wydanie polskie i francuzkie. Kraków.

— *Wodzicki Kazimierz: Zapiski ornitologiczne* VII. Skowronek. Lwów

— W teatrzyku warszawskim Alhambra wystawiono po raz pierwszy pośmiertne dzieło sceniczne nieodżałowanego *St. Dobrzańskiego*: *Wujaszek Alfons*. Sztuka ta jako farsa, należeć ma do najcelniejszych perełek w tym rodzaju.

— Grono młodzieży polskiej w Petersburgu przetłómaczyło na język polski *Szkice Spencera*, które wkrótce wydane zostaną w Warszawie.

— Drugi tom listów pani *George Sand* (r. 1836—1847) ukazał się w Paryżu u *Calmanna Levy*. Treść tego tomu o wiele jest bogatszą niż poprzedniego. Listy do hrabiny d'Agouldt, Liszta, Lamenaigo, jakoteż listy pisane do przyjaciół rodziny p. *G. Sand* są nader barwne. Również bardzo są zajmujące tragi-komiczne opisy pobytu słynnej autorki podczas zimy 1839 r. na wyspie Majorce z chorym już wówczas na suchoty Szopenem.

— Tygodnik powszechny rozpoczął druk powieści *M. Bałuckiego* p. t. „250.000,“ osnutej na tle małomiejskich stosunków w Galicji.

—„Bez serca“—taki jest tytuł najnowszej powieści *Kraszewskiego*, zamówionej przez N. Fr. Presse.

— Po *Adolfie Thiersie*, znanym historyku i prezydencie Francji znaleziono bardzo ważne manuskrypty obejmujące 347 stronnic. Są to pamiętniki Thiersa, w których wybornie podobno scharakteryzowani są: *Ludwik Filip*, *Talleyrand* i inni. Pamiętniki te zapewne nie prędko ukażą się w druku, ponieważ siostra zmarłego pani *Desne* nie chce wydaniem ich atakować wielu dotąd jeszcze żyjących osobistości.

— „Til Statsraads“ nowy romans *Jana Normand* wywołał powszechne zajęcie w prasie europejskiej. Dzienniki kornie odzywają się o tem nowem dziele znakomitego powieściopisarza. Treścią romansu jest rozwój życia politycznego w stolicy Norwegji i jego charakterystyka.

— Mikołaj I., książe czarnogórski napisał trzyaktowy dramat: *Cesarzowa Bałkanu*. Dramat ten pisany w języku serbskim (wierszem) zamierza sam książe przetłumaczyć na francuzki.

— P. *Kulisz* dokonał przekładu na język małorosyjski dzieł Szekspira. Dzieła w nowym przekładzie noszą tytuł: *Szekspirowi twori z mowi brylańskoj mowoju ukraińskoju perekładow A. Kulisz.* — Pierwszy tom obejmuje 414 stron druku.

— *Karol Darwin* pozostawił po sobie 140.000 funt. szterlingów (około 1,400.000 złr.) majątku w zbiorach i ruchomościach.

— *Stanisław Noskowski*, rodem z Warszawy, lekarz praktykujący w Norges dep. Côte d'or. otrzymał za zasługi obywatelskie medal srebrny od *Société d'encouragement* we Francji.

— *Emil Zola* zamierza napisać historyczny romans, którego bohaterem będzie Garibaldi. W tem też celu dla zbadania romaitych kwestyj i dostarczenia sobie materjału, wybiera się *Zola* do Włoch.

— Nakładem paryzkiej firmy Calmanna Levy wyszedł najnowszy dramat *Wiktora Hugo*: Torquemada, osnuty na posępnem tle inkwizycji hiszpańskiej. Dramat ten nie jest przeznaczony dla sceny — nie posiada odpowiednich warunków.

— W Berlinie zbierają się składki na wybudowanie nowego gmachu dla wystawy higienicznej, w miejsce zniszczonej pożarem. Dotychczas wpłynęło już do kasy komitetu przeszło 200.000 marek.

Z dziedziny malarstwa, rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

— Z pracowni p. *Szymona Buchbindera* wyjdzie w tych dniach obraz przedstawiający Zygmunta III. zajętego pracą jubilerską. Zannim damy opis obrazu i jego ocenę, musimy zaznaczyć, że artysta doszedł w nim do szczytu prawie wykończenia. Owoc ten dwuletniej pracy artysty dowodzi nadzwyczajnej sumienności i wielkiej wprawy technicznej, jaką p. B. posiada.

— W pracowni p. *H. Lipińskiego* widzieliśmy ukończony prawie obraz: W ogrodzie. Ogrodnik, żołnierz widno Kościuszki, struże dla młodego panicza kosę drewnianą. W dali rysuje się Wawel. Pomysł bardzo wdzięczny, łączy się z pięknem wykonaniem. Tenże artysta pracuje wciąż nad szkicami do „konika zwierzynieckiego.“

— „Piraci,“ słynny obraz *Siemiradzkiego* budzi wielkie zajęcie w wiedeńskim Kunstvereinie. Obraz ten przedstawia chwilę, gdy obładowany zdobyczą łupieżca wpływa na łódce do jaskini. Bogactwo akcesoryów i wspaniałość morskiego widoku przedstawiać mają wspaniałą harmonję.

— Słynna tragiczka *Ristory* znowu, jakkolwiek na krótko, zamierza wystąpić na scenie. Przyjęła już mianowicie angagement dyrekcji londyńskiego teatru Drury-lane.

— W roku przyszłym ma być urządzona w Warszawie przedstawienie sceniczne na rzecz powiększenia funduszu, zbieranego na budowę domu dla Tow. Zach. Sztuk pięknych. Widowisko to obiecała urządzić p. Modrzejewska.

— W salonie artystycznym p. *Krywulta* w Warszawie ukazał się nowy obraz p. *Fr. Żmurki* p. t. Sfinx.

— Warszawa namyśla się nad budową nowego teatru, któryby zastąpił obecny t. zw. Rozmaitości, uchwałą podkomitetu architektonicznego komisji teatralnej skazany na zagładę. Teatr prawdopodobnie stanie na Zielonym placu.

— W soborze św. Zofji w Kijowie odkryto podczas robót około nowego wejścia starożytne freski; przedstawiają one oblicza świętych z greckiemi podpisami. Dotąd odczytano jeden dopiero wyraz: *agia*.

Do tego Nru dołącza się: Głowa wieśniaczki z okolic Krakowa, rysunek Witolda Pruszkowskiego.



GŁOWA WIEŚNIACZKI Z POD KRAKOWA

Rysunek W. PRUSZKOWSKIEGO.